Numer 2. Nal. poczt. opł. rycz. Dnia 13 Stycznia 1929



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE

Oszczędny gospodarz
kupuje **węgiel** najtaniej w składzie
Gwarectwa węglowego państwowych kopalń
w Brzeszczach
W KRAKOWIE
Ul. KURNIKI 9. Ul. PAWIA 16
TELEFON 1435.
Jednorazowe zakupno przekona o dobroci i taniości węgla.

ZAKŁAD POGRZEBOWY
»AETERNITAS«
Kraków, ulica Mikołajska L. 14.
Rok założenia 1892. Telefon 40-47.
obecnie pod nowem kierownictwem urządza pogrzeby od najskromniejszych do najwspanialszych, czyniąc dla mniej zamożnych ustępstwa. Udziela kredytu. Przeprowadza ekshumację i przewozy zwłok do wszystkich krajów. Posiada na składzie **wielki wybór trumien i wieńców** sztucznych oraz metalowych.

Bandażysta
Specjalista fachow. od lat 40
A. M. MIRKIEWICZ,
Kraków, Mostowa L. 4.
Poleca bandaże przepuklinowe bardzo praktyczne i skuteczne pod gwarancją. Nowość! Bardzo lekkie i bez dolegliwości w noszeniu. Dla dzieci małych specjalność niebywała. — Ostrzega się przed blagierami i niefachowymi, którzy narażają na przykrości!
Praktycznych objaśnień udzielam bezpłatnie.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

BLEDNICĘ
BRAK KRWI USUWA
Mra KRZYSZTOFORSKIEGO
WINO CHINOWO-ŻELAZISTE
na maladze hiszpańskiej
reguluje słabości kobiece, dodaje siły, podnieca apetyt, **przyczynia krwi, położnicom zadziwiająco szybko przywraca siły,** a specjalnie polecane przez lekarzy w chorobach płucnych, po przebytych ciężkich chorobach, przy osłabieniu ogólnem, oberwaniu, braku ochoty do życia, nudnościach, zawrotach głowy, wyczerpaniu fizycznem i umysłowem. Do nabycia w aptekach i drogerjach, do miejscowości gdzie niema na składzie można zamawiać wprost z fabryki we własnym interesie, by ustrzec się przed podróbkami, — **żądać wyraźnie**
Mra KRZYSZTOFORSKIEGO
WINO CHINOWO-ŻELAZISTE
Naśladownictwo energicznie odrzucić!
Flaszka mniejsza z przesyłką zł. 3.50, 5 flaszek 13 zł.
Flaszka podwójna z przesyłką zł. 5.—, 5 flaszek 22 zł.
Fabryka chemiczna Mr Krzysztoforski, Tarnów 8.

KONCESJONOWANE
Kursy kroju i szycia
„Józefina“
Kraków, ul. Długa 11
rozpoczynają się 1 i 15 każdego miesiąca. Przyjmuje się dziewczęta nawet z szyciem nieobeznane. Wpisy codziennie od 9 do 6 wieczór. Dla zamiejscowych mieszkanie zapewnione.

Piosenkarz Polski Zbiór najpiękniejszych piosenek: Piosenki ludowe, taneczne, miłosne, żartobliwe Krakowiaki, Mazury, Oberki, Kujawiaki, dumki, serenady, Piosenki młodzieży, piosenki narzeczonych, piosenki swatów, piosenki drużbów, piosenki taneczne na weselu, śpiewki przy oczepinach, piosenki dożynkowe i wiele wiele innych. Stron 120. Do nabycia w Administracji »Roli«. Cena 1'10 zł.

Przy przesyłaniu prenumeraty przekazami pocztowymi prosimy adresować nie do Administracji „Roli“ lecz: Konto pocztowe 406.301 Kraków.

Higjena.

— Powinna pani zakazać córeczce całować psa. To niehigjeniczne!

— Ma pan doktór rację. Kto wie, kto go całował przedtem.



Dyplomata.

Cała rodzina Kohnów z biciem serca oczekuje przybycia najstarszego syna Moryca, który zdaje maturę.

— No jakże Moryc? — pyta ojciec z trwogą.

— Główna rzecz, że wszyscy żyjemy i jesteśmy zdrowi. Nieprawda? — mówi Moryc.



Jego kosztem.

Pewien młody człowiek codziennie rano po drodze do biura dawał regularnie siedzącemu zawsze na tem samem miejscu staremu żebrakowi 5 groszy. Tak było przez kilka lat. Aż pewnego dnia ofiarodawca ów, dając jak zwykle datek żebrakowi, powiada:

— Dziś już ostatni raz daję wam, dziadku, 5 gr., albowiem żenię się i wyjeżdżam stąd na stale.

— Co! — zawołał żebrak z oburzeniem — żenisz się pan moim kosztem!?

Kot i kucharz.

(Z bajek Krylowa.)

Już bulgotały garnki, skwierczały patelnie,
W tem kucharzowi pić się zachciało piekielnie.
Więc skoczył na kieliszek,
Toć nie ucieknie robota,
A przeciw szkodnictwu myszek
Na warcie zostawił kota.
Zabawił tam chwilę krótką,
Wraca, patrzy, kot w kącie, przy nim kurze udko.
— A, to ładnie! to ładnie! — rozpoczyna kucharz —
Ja cię proszę pilnować, a ty sam tu buchasz?
Wiesz, jak się to nazywa? To zwyczajna zdrada!
(A Mruczek dalej udko pod stołem zajada).
— Tegom się nie spodziewał! Gdzie twój honor koci?
A takem ciebie chwalił! Mówiłem sąsiadom,
Że mój kotek poczciwy, że nigdy nie psoci,
Że przed szczurami zawsze w nim obronę ma dom...
A teraz co im powiem?... Żeś mi ukradł mięso?
(Mruczek nic! Pałaszuje, aż się uszy trzęsą)
Tu kucharza ogarnął kaznodziejski zapał,
Srogie wyrzuty, morały prawił kotu kwadrans cały,
A gdy się wreszcie wysapał —
Mruczek, słuchając perory — cichutko
Wykończył udko.
Kucharzowi bym temu wypisał na ścianie:
Morały nie pomogą, gdzie trza sprawić lanie.



Funty.

— A gdzież to obecnie pański syn?

— Jest w Anglji; pracuje w fabryce sera, dostaje trzydzieści funtów na miesiąc.

— I sam to wszystko zjada?

Do nabycia w Administracji „Roli“:

„FLIRT POLSKI“

nowe karty do gry towarzyskiej z numerami są najpiękniejszą i najwdzięczniejszą zabawą towarzyską, 40 kart z pouczeniem w futerale. **Zł. 1.**

LISTOWNIK DLA ZAKOCHANYCH

czyli podręcznik do pisania **listów miłosnych**, oświadczynowych, w sprawach małżeńskich oraz pięknych wierszyków na pocztówki. **Zł. 1.10.**

ŚPIEWNIK MIŁOSNY

zawiera: Pieśni i Piosenki miłosne, Weselne, Krakowiaki, Arje oper, Śpiewy i śpiewki ludowe, o miłości i kochaniu itp. w objętości 128 str. **Zł. 1.10.**

ZBIÓR POWINSZOWAŃ

na imieniny, zaślubiny, Boże Narodzenie, Nowy Rok, oraz zbiór **Poezyj do Pamiętnika,** zastosowany dla dzieci, młodzieży i dorosłych, w objętości 128 stron. **Zł. 1·—.**

WIELKI ILUSTROWANY

Sennik egipski

zaczerpnięty ze starych egipsko-arabskich dokumentów.

Zawiera **2.500 wykładów snów** w alfabetycznym porządku, **90 rycin** ilustrujących sny, przewidzenia i zjawiska, **36 rycin kabały** słynnej wróżki Lenormand z Paryża. Objaśnienia o snach, przewidzeniach, wyroczniach, znaczeniach i zjawiskach. **Artonaneje, czyli sztuka wróżenia z kart,** z ręki, palca i czoła.

Powyższy sennik wraz z opłatą pocztową 1.50 zł.

6 tomów powieści za 4 zł.

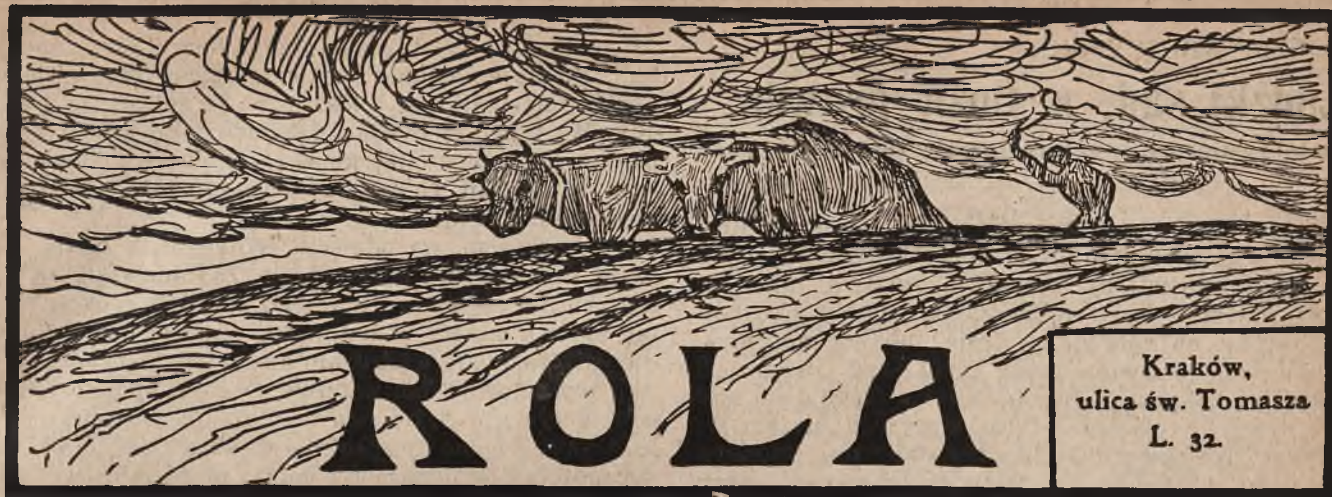
w objętości 600 stron druku.

1. **Andzia.** Oryginalna powieść współczesna.
2. **Miłość Śpiewaka.** Powieść z życia artystów.
3. **Baronówna.** Powieść.
4. **Kobieta z kociemi oczyma.** Powieść.
5. **Na hrabiowskim zamku.** Powieść.
6. **Narzeczona lotnika.** Powieść na tle współczesnych stosunków.

Powyższe 6 tomów powieści wysyła pocztą opłatnie za nadesłaniem zł. 4.—

Na wszystkie powyższe książki należytość **prosimy** nadesłać wprzód, gdyż za zaliczką drożej kosztuje.

Numer 2. Rok XII. Kraków, dnia 13 Stycznia 1929.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1929: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40; do Ameryki 2 i pół dolara ocznie; do Czechosłowacji rocznie 50 kor. cz., półrocznie 27 k. cz., kwart. 15 k. cz. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji „Roli" 30 gr. — Adres na listy do Redakcji i Administracji: **Kraków, św. Tomasza 32.**
Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406 301. Konto pocztowe w Pradze czeskiej: Praga Pocz. Urząd Czek. 500.868.

Mróz.

Zima ustaliła się na dobre i już niejednemu niejednokrotnie mróz dał się we znaki. Marzniemy ale nie narzekamy, bo wiemy, iż mróz jest na świecie nietylko potrzebny ale nawet konieczny. Zapewne każdy zauważył, że większa część chorób, które tak ludzi trapią latem i w jesieni, zwykle ustają zimą. A to dlatego, że zarazki tych chorób, które znajdują się w powietrzu lub na zwierzętach, albo na przedmiotach i zarażają zdrowego chorobą, wymarzają zimą i więcej nie szkodzą. Gdyby nie było zimy i podczas niej mrozów, choroby takby się rozwielmożniły, że lekarze nie daliby sobie z nimi rady.

Wprawdzie mróz daje się ludziom we znaki, ale przecież mamy na niego lekarstwo, a jest niem ruch i praca. Na dowód może posłużyć opowiadanie, które powstało na kresach Polski, a które powiada, że zimową porą wędrowali dwaj bracia po świecie: młodszy z nich był to mróz czerwony, bo gdzie się pokazał, ludziom czerwieniły się nosy, ręce i twarze; drugi starszy nazywał się mrozem sinym, a ten był silniejszy, bo od niego ręce, twarze i nosy siniały. Otóż te dwa mrozy spotkały jednocześnie na swej drodze pana jadącego saniami, w futrach i baranicy i chłopa w krótkim starym kożuszku, idącego z siekierą do lasu po drwa. Mrozy, ponieważ lubią ludziom dokuczyć, zaraz zabrały się do tych podróżnych; a że sprawa z chłopem licho odzianym wydała się łatwiejszą, więc uczepił się go mróz mniejszy, czerwony. A do pana wziął się mróz siny i jak zaczął zaglądać mu przez najmniejszą szparę pod baranice i futro, to wkońcu pan zaczął dzwonić zębami i ledwo żywy dojechał do domu. Tymczasem chłop, przejęty mrozem, prędzej zaczął iść; nos i twarz śniegiem roztarł, a rękami bił się o boki i w taki sposób doszedł do lasu. Tu wziął się do roboty, ścina drzewa, rąbie je i robi mu się coraz cieplej, a o mróz nie dba. Mróz, widząc, że sam nic nie poradzi, wzywa na pomoc swego starszego brata, który już z panem się uporał, i razem wzięli się do chłopa. Ale ten tylko żwawiej siekierą wywija, aż drzazgi z rąbanego drzewa lecą; pomimo mrozu pot mu z pod czapki kapie i tak się zrobiło gorąco, że wkońcu zdjął kożuszek i w samym kaftanie drzewo rąbie. Mrozy oba nic nie zrobiły i ze wstydem musiały odejść.

Jest to tylko żartobliwe opowiadanie, ale dowodzi ono, że mróz znowu nie jest tak straszny.

Zdawałoby się może niejednemu, że mróz, jak mróz, ale śnieg jest w zimie zupełnie niepotrzebny. Takby się zdawać mogło, a przecież jest inaczej. Śnieg bowiem, topniejąc wiosną, daje nam tę wilgoć, która jest tak potrzebna, aby nasze zboże, łąki, drzewa i wogóle wszystkie rośliny rozwijały się i rosły, jak należy.

A lód? Lód także jest potrzebny, gdyż służy on do przechowywania na świeżo wielu rzeczy przez czas dłuższy, które inaczej dawnoby się zepsuły i pogniły. Dlatego ludzie urządzają sobie lodownie i ubijają lodem, bo w czasie lata mogą trzymać tam dłużej mleko, mięso i ryby.

Tak więc, chociaż nam nieraz zima dobrze dokuczy, ale trzeba to cierpliwie znosić, bo to dla naszego pożytku. Ale jest inny mróz, stokroć gorszy nawet od takiego mrozu, co chwyta nas za nos i uszy, a strasznym tym mrozem jest ten, który przejmuje i wyziębia ludziom dusze. Zziębnięte ciało w ciepłej chacie przychodzi do siebie, ale wyziębionej, zmrożonej duszy, nic już nie może zagrzać i ożywić. Człowieka z zimną, zmarzniętą duszą nie poruszy ani niedola braci, ani jęki i łzy cierpiących, ani nieszczęścia swego kraju rodzinnego, bo jego dusza to lód chłodny i twardy. Ciepło, które daje nasza święta wiara i miłość bliźniego nie mają do takiej duszy przystępu, została ona bowiem zmieniona w kawał lodu.

DR. JÓZEF KRUSZYŃSKI.

Ludzki sąd, a Boża prawda.

Powieść kryminalna, w wolnym przekładzie Juljusza Prusa.

III.

Bo też do tej pory między nimi, to jest Sylwestrem a jego stryjecznym bratem Matwijem Hurko była zgoda. Matwij był starszy i żonaty i miał już kilkoro dzieci. Sylwester chodził na roboty, a cokolwiek zarobił na spławie, w lesie lub na gościńcu, przynosił stryjecznemu bratu i tak żyli razem po ludzku i po bożemu. Sylwester miał u niego dach nad głową, odzież i jedzenie. Teraz wszystko zaczęło się rozprężać: rozmowa z Judką nie dała mu spokoju. Poco jemu właściwie na Matwija pracować, skoro powinno być przeciwnie? Być sługą w swojej własnej chałupie, z psią wiernością w mróz i deszcz ciężką taczkę ciągnąć? Albo Matwij nie jest oszustem, co jego, sierotę bezdomnego chce po kradajemku obrać ze wszystkiego, smutny los mu gotując, a krzywdą wywianować dzieci, jego samego z wiatrem puszczając, jak dym lub zeschły liść? Ou wa! Począł się unosić ,kipieć w samym sobie jak dziki zwierz. Jak to w takich razach bywa, zatracił zdrowy sąd o rzeczy i zamiast rozpytać spokojnie brata o historję ojcowizny, wpadł do domu i zrobił mu awanturę.

— Zbój jesteś i rabuś Matwiju! Siedzisz na moim gruncie i w mojej chałupie, a mnie biednego okradasz ze wszystkiego i zarobki moje zagarniasz!

— A w ciebie co wstąpiło Sylwerku? Co ty wygadujesz bracie?!

— Nie mówię po chińsku! Czy nie rozumiesz, że okradasz na gruncie, chałupie i zarobkach! Udajesz że coś nowego słyszysz? Karmisz siebie i swoje dzieci moją krzywdą, a ledwie okruchy mi rzucasz jak psu!

— O! nieszczęsnaż godzina! — wykrzyknęła kobieta. — Czart cię opętał, czy co? O jakiejże ty krzywdzie gadasz? O jakiej chałupie i gruncie, człowiecze?!

— Ty też swoje prawisz! — huknął Sylwester. — Na mojem siedzicie i pasiecie się, jako wszy na kożuchu! Ja was oboje nauczę i z chałupy wyżenę!

Matwija ugodziło to jakby w samo serce kolnął. Od słowa do słowa, kłótnia zawrzała na dobre, szczęściem, że do bójki nie doszło. Wkońcu Matwij wygnał Sylwestra z domu; poszedł z ochotą szczęśliw, że sprawę tak zapoczątkował; pognało go młócić żydowski owies. Odrazu stał się nietylko w całem tego słowa znaczeniu bezdomnym, ale i żydowskim sługą. Wtedy dobiegał ośmnastu lat wieku.

Zobaczywszy u siebie Sylwestra, stary Goldteich mocno się ucieszył, że do dwudziestu trzech silnych, bezpłatnych robotników, przybył mu jeszcze i dwudziesty czwarty. Stary martwił się tem tylko, że Judka robi niepewny interes i wydaje pieniądze na tę podróż jakby w wodę wrzucił, bo wiedział, że Sylwester niczego nie posiada. W jaki sposób odbierze Judka pieniądze, gdy on jedzie do Ameryki? Tamci dwudziestu trzech, a! to inna sprawa. Byli to synowie majętnych gospodarzy, którzy chwilowo zaciągnęli u Judki pożyczkę. Żyd intabulował się na tysiączkę za rok od pożyczonych 400 koron, nu to jest gołd mit cikier. Ale co un robi z ten Sylwester, jaki geszeft, stary nie mógł sobie wykalkulować i posmutniał. — Miłosierne interesa robić nie pora i co mu z tego przyjdzie? Aj, fe! Ale gdy niezadługo przyszedł Judka i przedstawił mu swoje geszefciarskie plany, stary aż cmoknął z radości, tak genjalnym wydał mu się syn.

— Bardzo z ciebie wielki chuchem i dobry spekulant. Ty moje nasienie drogie: będziesz miał majątku i bank sobie założysz. Piękny jest Izrael bogaty i władny. Wydobył szabasową śliwowicę, po której zjedli po kawałku pieczonej kaczki z kołaczem zaprawionym szafranem. Geszeft żydowski urasta zawsze na głupocie ludzkiej.

Tymczasem, po odejściu Sylwestra z chaty Matwija, cała rodzina posmutniała. Zastanawiali się nad tem, co mu się stało i dlaczego porzucił spokojne dotąd życie a wszedł w żydowskie służby? Coś stało się niewątpliwie, ale wątku nie mogli się doszukać... Matwij był człowiekiem uczciwym, wiódł spokojne, pracowite życie, a Sylwestra kochał jak rodzonego brata. Nawet własne dziecko nie większą cieszyło się serdecznością i w niczem nie miało pierwszeństwa. Nieraz myślał sobie: — Ot da Bóg, ożeni się Sylwester z jaką uczciwą i dobrą dziewuchą, a on Matwij da mu co nieco z dobytku, dopomoże i na stare lata będzie miał ze Sylwestra nietylko brata, ale także przyjaciela.

A tu jakaś nieczysta siła zakłóciła ten spokój i pomieszała plany. Czarny smutek wtoczył się w serca tych ludzi uczciwych. Jakiejże to ojcowizny żąda od niego Sylwester? Co on, Matwij, jemu skradł i dlaczego pasie się cudzą krzywdą? Co to wszystko ma znaczyć? Gdzie i czem da się to wytłumaczyć? Setki pytań z różnych stron mózgu zbiegało się w duszę i tworzyło tam chaos nielada. Wszakżem go nie skrzywdził w niczem i niczego mu nie zabrałem — myślał. — Cokolwiek mam, wszystko jest po moim ojcu; legat sprawiedliwy i czysty. Moje to wobec Boga i ludzi: testamentem legalnym stwierdzona sumienna własność! Jakże to? Chyba ten człowiek z dopustu Bożego ociemniał na umyśle? Choć sprawa widziała mu się czysta, mimo to Matwij zaczął się dowiadywać: był w sądzie, u komornika, był u adwokata. Najmniejszej wątpliwości niema, że to, co testamentem przekazał mu nieboszczyk ojciec, sprawiedliwie jemu się należy; jest jego niezaprzeczoną własnością ten grunt i ten dom. Bóg raczy wiedzieć co ten człowiek chce od niego i na jakiem prawie? Ot kłopot. Jeden krzyżyk i dopust boski: tu sęk.

Podczas gdy tak rozmyślał i martwił się niewiadomo czem i poco, zaczął zmierch zapadać, a parę chwil potem, przyszedł Judka w odwiedziny. Poco?

— Daj Boże dobry wieczór Matwiju!

— Daj Boże i tobie! A ty poco tu Judka?

— At poco. Przyszedł do was pokłonić się, a zapytać, co koło was nowego?

— Nowego? Hm, Mara mój Judko; nie dobrze.

— Nu jaka mara? Czemu nie dobrze?

— Jakto nie wiesz, że Sylwester mnie porzucił, a poszedł w służbę do twojego ojca?

— A choroba by wzięła Sylwestra! To ladaco!

— No nie ladaco, a najlepszy robotnik. Tylko mówią ludzie, że się ze mną chce prawować.

— He? Un prawować się z wami? He, he... Z takim gospodarzem jak wy, un prawować się, taki goły dziad!

— A kto go tam wie. Strzeliło mu coś do łba, a gadka po wsi idzie.

— A za co un chce się z wami prawować?

— Za grunt gada... za ojcowiznę.

— Tak... za grunt? Za ojcowizne?... un... wiecie wy... aj, to możebne!

— Jakto możebne?

— Ano tak, że ludzie się prawują o takie rzeczy. Czy Pańka Arnikowa, bratanki nie wygnali z gruntu?

A Michała Wronę, nie? A Zańkowicza, nie? Nie odebrali dzieciom gruntu Stefana Djakowa, he? A przecie mieli grunt i tabulę z dziada testamentem. Nu?

— Bodajże cię choroba napadła Judko!

— Czemu choroba? Ja was szanuje; mówię rozumnie jak na świecie jest, a wy na mnie z chorobe!...

— Bo co ty pleciesz żydzie i jak porównujesz? Tożem był i w sądzie, u komornika, u adwokata. Na moim gruncie i chałupie niczyja łapa nie spocznie prócz mojej.

— Nu, nu. Co z tego„ że wy tam wszędzie byli? Jak Sylwester robi proces, to adwokaty nakręcą głowę sędziemu, sędzia nakręci głowy świadkom, a inżyniery i kilometry pokręcą do reszty i będzie chorobe. Wy myślicie, co ja wam nie gadam na rozum? Nu to spytajcie Pańka, Michała a Zańkowicza, to oni już wam powiedzą.

— Bodajże ciebie żydzie... tożeś mnie do reszty zagryzł.

— Nu czemu zagryzł... poco zagryzł? Ja wam mówię: Wy się nie turbujcie.

— Jakże się nie mam turbować, skoro czepi mi się Sylwester i zacznie proces.

— Nu, ja wam poradzę, co wy będziecie panem, a Sylwestra djabli wezmą!

— Jak poradzisz? No poradź!

— Wiecie Matwiju? Wy potrzebujecie dać cztery setki.

— Ba, a skąd wezmę te setki?

— Jak nie macie gotówke, to dajcie woły.

— Czyś zwarjował żydzie? A za co woły?

— Żeby się pozbywać bide. Trza Sylwestra posłać do Amerykie, a tam jemu... szabes — koniec. Wy wtedy będziecie gazdowali spokojnie na wieki. Nu, a jak wy zaczniecie proces, to sie tak z wami zrobi, jak z Sylwestrowym ojcem. Na co wam taki kram!?

— Szczeźnij Iskarjoto! Daj mi czysty spokój żydzie!

— Nu ja was nie siłuje, ale moja rada dobra. Ja wam mówie namyślijcie sie dobrze, bo o waszą skóre idzie. A jak nie chcecie, nu — niech i tak będzie. Bądźcie zdrowi!

IV.

Po odejściu Judy, Matwij zmartwił się jeszcze więcej. — Boże Ty Wielki! Co tu właściwie począć? Jak wyleźć z tego zamętu, gdzie o to zapytać? Żyd takoj prawdę mówi — niema gadania. Bo czy tylu ludzi co ja znam, nie przegrało niesłusznie procesów? Czy nie poszli ze swoje chaty i roli z torbami? A Stryk? Sylwestra ojciec? Jestże na świecie sprawiedliwość? Młody sędzia, któremu wąs zaledwie odrastać zaczyna, jak zwoła ludzi do sądu, to jak gniazdo szerszeni. I kancelarje i korytarze roją się ciżbą.

A jak zacznie rozczytywać się w sprawie, to jak cepem młóci procesy. Mów do niego: nawet nie wysłucha; mówi: Nie mam czasu! Proś go o co: milczeć! mówi. Do aresztu zamknę! Wyrzucić go!

A adwokaci, żydki różne, piąteczki, dziesiąteczki hap, i wszystkim po łbach tańcują! Ba, stary Mielnikowicz co na procesach zęby pozjadał, nie darmo mówi: Niema prawdy! A nawet mówił, że u nas tylko ten gruby adwokat Sulimowicz wygrywa sprawy, bo w jego kieszeni cały sąd siedzi; wszyscy sędziowie z nim w karty grają. Oj, Boże, gdzie Twoja prawda?

Matwij pogrążył się w jakiemś rozpaczliwem rozmyślaniu. Poprostu gubił się w matni tematu, nie mając wyjścia. Zdenerwowanie miewa swoją logikę, którą pragnie uzyskać równowagę. Matwijowi wpadła taka myśl: Czyby nie lepiej było, dać Judce woły dla świętego spokoju i spokoju dzieci? Wszak proces pochłonie nierównie większe sumy. Jeśli bowiem wygrałby proces, to kosztów jego nie odbierze od Sylwestra, który nic nie ma — a jeśli przegra: no, to pójdą woły, krowy, barany, cały dom, grunta, wszystko! W sądzie, Bóg wie po jakiemu sądzą: Jan Paszkin w dwóch sądach wygrał, a w Wiedniu przegrał. Homik w dwóch sądach przegrał, a w Wiedniu wygrał. Czyż na takich przykładach można zdobyć jakąkolwiek pewność? Jakże tu się orjentować i jak wybrnąć z całej awantury, chociaż słuszność Matwija jest namacalna? Ha! Niema co: Żyd ma rację; trzeba go posłuchać. Prawdę mówił żydzisko, świat podstępnymi drogami chadza, podłość jest jego hasłem. Stracić kilka wołów w zamian za święty spokój, to nie strata, a zysk; choć boli, ale cóż zrobić?

Poprosił żonę do komory i oboje poczęli się naradzać po cichutku. Stamtąd po jakimś czasie wyszła kobieta spłakana, Matwij smutny, a dzieci patrząc na to rodzicielskie przygnębienie też posmutniały.

Powlókł się Matwij do Judki.

— Ha no, wiecie Judko, namyśliłem się nad waszą mową i przychodzę do przekonania, żeście dobrze gadali i sprawiedliwy z was żyd.

— Nu, widzicie. Ja wam gadał po słuszności, a wy na mnie jeszcze chorobe rzucili. Niech będzie! Ja za wasze chorobe powiem jeszcze „daj Wam Boże zdrowie!“ Coby wy gazdowali i panowali. Żyd też ma fajne dusze, na dobre porade i w bidzie ratuje.

Ułożyli kontrakt podpisany przez Matwija, z którego wynikało, że on Matwij podpasie przez zimę woły i odda je Judce na wiosnę, a oprócz tego na zabezpieczenie, że dotrzyma tego co podpisał, dał żydowi weksel na 1200 koron; a za wygodę, że żyd do wiosny na woły poczeka zobowiązał się dać 200 koron i na te pieniądze wystawił drugi weksel. Żyd pożyczył Sylwestrowi 400 koron na piętnaście procent, dał mu obcy paszport i wysłał go do Ameryki razem z dwudziestu trzema innymi parobkami, a sam tytułem wynagrodzenia pobrał od spółki „Pacific Rail-Wary company, trzy tysiące koron prowizji.

Stary Goldteich, bardzo był zadowolony z rozumu i obrotności swojego syna.

Gdy rozniosło się po wsi, że Sylwester wyjechał do Ameryki, Matwijowi i jego żonie spadł ciężar z duszy. Teraz mogli lżej odetchnąć, a Matwij mówił: Chwała Bogu, że djabli biedę wzięli; niechże on sobie na wieki siedzi w tej Ameryce, a ja razem z żoną i dziećmi, będziemy mieć spokój.

V.

Sylwestrowi jakoś poszczęściło się w Ameryce: znalazł zarobek w kanadyjskich kopalniach nafty i do roku za pożyczone 400 koron, odesłał Judce 500, zatem więcej niż był się zobowiązał. W Ameryce nauczył się czytać i pisać nietylko w swojej mowie, ale także po angielsku; wkrótce został wiertaczem i tak zdolnym mechanikiem, że najbardziej zagwożdżone szyby potrafił odetkać. Z samych premij za odgwożdżenie szybów złożył sobie majątek: trzy tysiące dolarów; a to jest pewna, że gdyby swój talent i sprężystość umiał był ocenić, byłby napewno miał już z kilkadziesiąt tysięcy dolarów.

Za ten czas Matwij dostawił Judce podpisane woły, za które wziął żyd na jarmarku czternaście set koron. Oprócz tego wypłacił Matwij Judce za wygodę 200 koron, a weksel na 1200 koron, zamiast zwrócić, żyd przekazał do drohobyckiego banku. Matwij mu-

siał procesować się z bankiem, ale Judka „uczciwy człowiek“, złagodził sprawę na 300 koron bez kosztów, które Matwij zapłacił i była na nowo zgoda i spokój.

Juda i Matwij żyli sobie dalej po przyjacielsku.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Wielki pan.

Obrazek.

Pan Stanisław Rolski, urzędnik kolejowy, siedział w biurze i pisał jakąś depeszę. Wtem doręczono mu list z poczty. Z adresu poznał rękę piszącego i z gorączkowym pośpiechem zaczął list czytać. Było to pismo od jego brata i zawierało, co następuje:

„Kochany Bracie! Bolesną donoszę Ci wiadomość. Oto nasz kochany Ojciec leży od kilku dni bardzo ciężko chory. Był już u niego ksiądz z Panem Bogiem, a wczoraj zasięgaliśmy rady lekarza, ale choroba nie ustępuje. Ojciec życzy sobie koniecznie widzieć Cię jeszcze przed śmiercią, którą nieszczęśliwy ciągle przeczuwa, więc też piszę do Ciebie i proszę Cię, przyjeżdżaj do nas jak najprędzej, abyś naszego kochanego rodzica zastał jeszcze przy życiu. Strapieni bardzo, oczekujemy Cię i serdecznie pozdrawiamy wszyscy. Twój brat — Jan“.

Po przeczytaniu tej smutnej wiadomości, zbladł pan Stanisław i zmartwił się wielce, bo kochał i szanował swego ojca i swą rodzinę wieśniaczą, to też natychmiast poszedł do naczelnika stacji, pod którego kierownictwem służył i obwieścił mu tę smutną treść listu. Pan naczelnik, mąż zacny, odczuł boleść pana Rolskiego i rzekł przyjaźnie:

— Bardzo mi przykro, że nie mam prawa udzielić panu kilkudniowego urlopu, bobyś mógł zaraz wybrać się w podróż do domu rodzicielskiego. Trzeba wnieść prośbę do Dyrekcji kolejowej — poprę ją najgoręcej — a choć trudno bywa dłuższy, nieprzewidziany urlop otrzymać, gdyż potrzebne jest zastępstwo — to spodziewam się, w tak naglącym wypadku nadejdzie przychylne załatwienie sprawy.

Pan Stanisław drżącą ręką skreślił swą prośbę i list do brata — a potem zajął się dalszą pracą służbową.

Na stacji kolejowej ruch nieustanny. Pociągi za pociągami nadchodzą i odjeżdżają; świstania nawoływania, hałasu tyle, że niemiło słuchać. Ale urzędnicy kolejowi przyzwyczajeni do tej „przyjemności“, zdają się nie odczuwać owego chóru roóżnorodnych głosów i służbę swą pełnią z największym pośpiechem. Trzeba biegać i do telegrafu, czy telefonu, do pociągu, nadawać i odbierać rozmaite depesze; a wszystko musi iść żwawo, przytomnie i obrotnie, bo, broń Boże w czemś chybić, a nagana — kara spada na zmęczonego dziennem i nocnem czuwaniem i ciężką pracą urzędnika. A kara bywa dotkliwą, bo za przewinienia i pomyłki władza jest surową, gdyż tu idzie o zdrowie i życie setek ludzi.

To też i p. Stanisław, zdaje się, jakby zapomniał o swym smutku na chwilę. Z całą gorliwością służbę swą wypełnia i nie ma nawet odrobiny czasu bezczynnie usiąść i oddać się swym myślom.

Dziś p. Rolski ma pełnić także nocną służbę. Trudna to służba, bo ani oka zwykle zmrużyć nie można, chociaż się powieki kleją i człek upada ze znużenia.

Już po północy, a nasz p. Stanisław nie spoczął ani na chwilę. Zapowiedziane pociągi szły nieustannie do samej 12 godziny w nocy — następny ma przyjechać kilka minut po pierwszej. Padł zmęczony p. Rolski na stołek, a ocierając pot z czoła, odetchnął ciężko. Teraz nieco swobodnie poduma. I przeniósł się myślą w strony swej rodzinnej wioski, do macierzystego domu. Widzi ojca na łożu śmiertelnem, który do niego wyciąga swe drżące dłonie i pragnie go uściskać, pobłogosławić i pożegnać na wieki... Zerwał się z siedzenia i prawie nieprzytomny przeszedł się kilka razy po izbie. Usiadł znowu i podparł swą pałającą głowę na dłoni. Zmęczony i strapiony zdrzemnął się... I śniło mu się, że postępuje za orszakiem pogrzebowym rodzica swego i gorzko płacze. Dzwony biją, rodzina szlocha żałośnie za umarłym. Już żałobne pienia odśpiewano i nieboszczyka mają spuścić w grób ciemny. Rzucił się p. Stanisław, aby jeszcze choć wieko trumny uściskać — gdy wtem ocucił go donośny głos posługacza kolejowego:

— Panie oficjale, pociąg nadchodzi!

Zerwał się p. Rolski i ledwie napół przytomny, gorączkowym ruchem wpuścił pociąg osobowy na stację — ale na tor niewłaściwy, na którym znajdował się w tej chwili pociąg towarowy. Wprawdzie nie nastąpiło zderzenie się pociągów, bo maszynista spostrzegł niebezpieczeństwo i lokomotywę wczas zatrzymał — ale powstał przestrach, hałas; p. naczelnik wybiegł przestraszony na plac z całą służbą — stało się więc nieszczęście dla biednego urzędnika, który tę omyłkę może ciężko odpokutuje!

Upłynęło kilka dni, a urlopu p. Stanisława nie było widać — natomiast musiał on przed komisją stawać, składać zeznania do protokołu, tłumaczyć się i uniewinniać... Lecz czy się uniewinni? Daj Boże! Przykro było niewymownie p. Rolskiemu, że nie mógł zaraz chorego ojca odwiedzić; w samotności płakał poczciwy i narzekał boleśnie nad swem położeniem — zazdrościł wieśniakowi, co choć ciężko pracuje, ale jest swobodny, ma chwile wypoczynku i może się czuć szczęśliwym.

Tymczasem ojciec p. Stanisława umarł i syna nie oglądał i nie uściskał przed śmiercią. Na pogrzebie kiwali ludzie głowami i dziwowali się, że pan oficjał nie przybył nawet na pogrzeb.

— Ha! — mówili jedni — „wielki pan“ z niego — pewnie się wstydził przyjechać, przywitać się z rodziną i opłakać zmarłego ojca włościanina.

— Co wielki pan, to wielki — odzywali się drudzy — widzieliśmy go, przejeżdżając do Krakowa na odpust. Stał na stacji przy pociągu, w czerwonej czapce, podparty w boki, w płaszczu ze świecącemi się guzikami, gdyby nie przymierzając jaki generał...

— Ej, gadajcie wy sobie — zakończył jeden z gospodarzy — już on nie nasz, choć ze wsi pochodzi. Ma pewnie wielkie dochody, niczego mu nie brakuje, chyba ptasiego mleka — i zapomniał widać o wszystkich!

A poczciwy p. Stanisław, dowiedziawszy się o śmierci ojca ukochanego, aż zachorował ze zmartwienia i żalu, a ledwie się z łoża podźwignął, blady i mizerny znowu powrócić musiał do obowiązku i pełnić dzienną i nocną swą służbę.

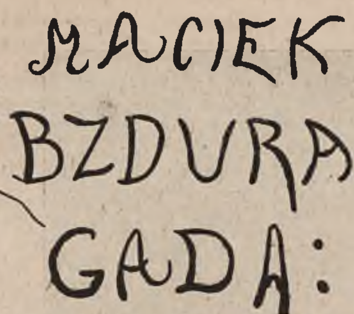
Franciszek Marzec.

OBRONA ZASCIANKU.



Dawne siedziby drobnej szlachty nazywały się zaściankami. Były to osady znacznie okazalsze od chat wieśniaczych, ale znacznie skromniejsze od chat włościańskich. Zamieszkiwała je przeważnie tak zwana szlachta chodaczkowa, która w pierwszym rzędzie różniła się od chłopów tem, że nie odrabiała pańszczyzny, a ziemia, na której ta szlachta mieszkała, była jej własnością. Przeważnie wszyscy mieszkańcy jednego zaścianka nosili wspólne nazwisko, a ponieważ często posiadali i te same imiona, więc też sąsiedzi dawali im do nazwisk przezwiska, aby łatwiej było jednego np. Jana odróżnić od innego.

Szlachta zaściankowa musiała też iść z bronią w ręku w czasie wojny, do czego chłopi nie byli zobowiązani. Niejednokrotnie w czasie powstań walczyła na własnych śmieciach do upadłego z wrogim najeźdźcą rosyjskim. Taką walkę, a raczej obronę zaścianku w 1863 roku widzimy na naszym obrazku, namalowanym przez sławnego artystę malarza polskiego Józefa Brandta. Mała garść obrońców postanowiła bronić swej krwawicy do upadłego i raczej zginąć podczas tej obrony, aniżeli ustąpić, aby później pójść w srogą niewolę na długą i krwawą tułaczkę w tajgach Sybiru.



Jagem był przy wojsku, to pan kapral zawse mi gadali:

— Ty, Maciek, to mas łeb, jak choroba, ze moznaby niem kamienie na gościńcu tłuc!

I słuśnie padali, bo przecie łba na karku po próźnicy nie nose i juz sie na niem nie jedna gosposina donicka rozbiła, a nic sie mu nie stało. To tez nic dziwnego, ze ludzie poznali sie na mojej mondrości i co trocha to sie mnie o radę pytają. A ja tam, ze jestem człek litosierny i la siebie samego mojej mondrości nie marynarkuje, to jak mogę, tak kuzdemu poradzę. .

Z końcem lutego mają być wybory w nasy wsi do Rady gminnej, to juz teraz koło nasej chałpy łazą, jak te wsy na kołnirzu, rozmaite ludzie i chcą sie wywiedzieć, abym jem poradził, coby to trzeba robić, zeby zostać radnem.

W insy wsi toby się tam nawet o to nie pytali, bo somsiedzi znają się wzajemnie i wiedzą co który z nich wart i kogo mają na radnego wybierać. Nie będą przecie wybierali byle jakiego bejdaka, ale upatrzą se ludzi najmorowsych i takich do Rady wezną. Ale w nasej Psiej Wólce to wszyćko idzie na opak. Na przykład przed sześciu laty, jak mieli wybierać wójta, to jegomość i wszyćkie inne ućciwe chłopy byli pewni, ze nikt inksy niem nie zostanie, ino Bartek Majda, jako chłop statecny, piśmienny i mimo to ućciwy. Ale spenetrował to Mosiek, tak pada do chłopów:

— Cie wy! Jakiewyście głupie! Poco wam taki wójt, co ani do karcmy nie pójdzie, ani gorzołki nie pije? Jakze on będzie rządził, kiedy on se z porządnemi gospodarzami przy kielisku nie poradzi?

I Bartek nie zostali wójtem ino Walenty Podkulek co to bez całe sześć lat prawie z karcmy nigdy nie wyłaził.

A ze to przy wójcie, który tak okrótecnie trunkować lubi, i radny od casu do casu coś niecoś chlapnie, latego tez w Psiej Wólce kuzden chciałby być radnem.

Wkiejsik przychodzi do mnie Wawrzek Wrona i po zagadaniu o tem i o owem tak do mnie powiada:

— Wis, Maciek, tyś tam bywały w świecie, boś i z jegomością nieraz gadał, a i przy wojsku siarziś buty pucował, tobyś ta mi mógł poradzić, jakby to mozna było zostać radnem?

Poźrołem na Wawrzka i śmich mnie wzion śniego. Chłop co prawda, jak i inkse: łeb ma taki sam, jak i wielu, ale we łbie oleju ani za grosa, a ino na łbie trochę kudłów.

— Eee!! — padam — wyście, Wawrzyńce, ani na policajmana gminnego nie zdatni,a cóz dopiro na jakiego takiego radnego!

— A cemuz to? — pyta Wawrzek.

— Bez to — ja mu na to — zebyście nijak radzić nie potrafili, bo na to głowy ni macie!

— A przecie w nasej Radzie są jesce głupse odemnie, a są — pada Wawrzek — a w sejmie w Warsiawie są jesce głupsiejsi niktórzy od nasych radnych i takze są i nikt ich stamtąd nie wyrzuca.

— Takoj i prawda, ze są, ale widzis, latego, ze w nasej Radzie są tacy mondrale, jak ty, a moze jesce głupsiejsi, bez to tez Psia Wólka jest Psią Wólką, i nicem inksem nie będzie i latego w niej taka bida. A ze w sejmie są i głupsiejsi od nasych radnych, to tez nie zaprzycam. Ale wis, tam jest 444 luda, to choćby było 333 głuptasków, to jesce zostaje 111 mondrzejsych, którzy i za siebie i za tamtych radzić potrafią i wszyćko jako tako jesce lizie. Prawda, ze jakby byli ino sami mondrzejsi, toby w całem kraju było lepiej, bo ci głupsi tem mądrzejsemby nie przeskadzali i ci mondrzejsi mogliby wiele dobrych rzecy uradzić. Ale i tak dają oni sobie radę. Co jednak tam się udaje, to nie uda się w Psiej Wólce, bo jak na 12 chłopa będzie ino trzech mondrych, to ich tych dziewięciu zakrzycą i nijak nicemu nie poradzą.

— Ale mnie się nie o to rozchodzi — powiada Wawrzek — zeby było w Psiej Wólce dobrze, ino o to, cobym ja został radnem.

— No to pocałujze se psa w nos — ja mu na to i posedem do chałpy, bo mi się widziało, ze la takiego mondrali to jest najkrótsa i najućciwsa rada.

Jakby to tak byle kto mógł być radnym, to juz w miastach zostawałyby radnicami chyba same podskubane pannice, bo przecie wiadomo, ze one najlepiej umią ludzi za nos wodzić. A przecie tak nie jest, bo tam ludzie mają serca i amory za przeprosenim w piersiach, ale rozum mają w głowie i tam nie głosują na byle Wawrzka, ale na takich, co mają we łbie olej lniany lub konopny. U nas za to jest inacej i bez to jest źle, bo u nas kum głosuje na kuma, nie patrząc, co ten kum ma pod cupryną: rozum, cy ino same wsy.

Latego, aby się mnie juz nikt więcej o to nie pytał, to ja tu powiem wszyćkiem razem i kuzdemu z osobna, kogo trza na radnych wybirać. Radny musi więc być człek mondry, ućciwy i porzomny, bo jaka Rada, taki wójt, a jaki wójt, taka i cała gmina.



Mróz.

Widzisz; — mróz
Z sennych wychylił się głusz,
Z jękami wichru się miesza
Na szkłach mozajki rozwiesza.

Widzisz; — mróz
Ostatnie liście z drzew zniósł,
Nagie i suche jak płoty
Pogrążył w śnie tęsknoty.

Widzisz; — mróz
W zmęczonej ziemi wnętrze wrósł,
Spiżowem związał spoidłem,
Zimnem otulił ją skrzydłem,

Widzisz; — mróz
Rozpętał moce śnieżnych burz,
Ostatnie serca nadzieje,
Śniegiem przykryły zawieje.

Widzisz; — mróz
Sobaczej doli wierny stróż;
Pod śniegów rozsłane maty
Wylękłe kurczą się światy.

Józef Kowalik.

PODRÓŻ PO DALEKICH KRAJACH.

Nawrócenie Kanady.

Co roku wielu młodych chłopców, a i starszych mężczyzn udaje się do Kanady, aby tam szukać zarobku celem ulżenia swej nędzy, a względnie zaoszczędzenia nieco pieniędzy, by po powrocie do ojczyzny kupić sobie nieco ziemi. Niektórzy jadą do Kanady z myślą, że stamtąd łatwiej będzie się im przedostać do Stanów Ameryki Północnej, do których wstęp obecnie jest bardzo utrudniony. I niejednemu się to uda, gdyż Kanada sąsiaduje od południa ze Stanami.

Kanada rozciąga się pomiędzy dwoma oceanami, na północy otacza ją trzeci ocean, tak zwany Lodowaty, a na południe graniczy z Stanami Zjednoczonemi. Jest to obszar ziemi, liczący wraz z wyspami blisko 9 miljonów kilometrów kwadratowych. Kraj to przeważnie płaski, lekko tu i ówdzie sfalowany, znacznie uboższy od Stanów Zjednoczonych, posiada klimat ostrzejszy, mniej ciepły, nie sprzyja bujnemu wzrostowi roślin, nie sprzyja rozwojowi ich rozlicznych gatunków, a ku północy mroźny, pokrywa lodem i śniegiem ziemie.



Męczeństwo O. Jougesa.

Ludność Kanady jest różnolita. Pierwotni mieszkańcy Indjanie, Huronowie i Algonkinowie mieszkają w dorzeczu rzeki św. Wawrzyńca, a nadto liczne drobne plemiona na pobrzeżu oceanu Spokojnego. Resztę przeważającą liczbę ludności tworzą ludy napływowe, jak Murzyni, Chińczycy, Francuzi, Irlandczycy, Szkoci, Anglicy i Niemcy. Najwięcej obecnie jest wyznawców religji katolickiej, a do nich należą Francuzi i Irlandczycy, reszta jest albo metodystami, presbiterjanami lub anglikanami.

Kanada jest w zasadzie państwem niezawisłem, chociaż w rzeczywistości wchodzi ona w skład wielkiego Imperjum angielskiego.

Jest to kraj przedewszystkiem rolniczy, kraj wielkich pastwisk, posiadający nadto bardzo wiele ryb. Hodowla bydła jest tu rozwinięta nadzwyczajnie.

Kanada należała dawniej do Francji i Francuzi przeprowadzili w niej swoją działalność misyjną. — Już w roku 1625 przybyli trzej pierwsi Jezuici i założyli swą misję w kraju Huronów. Uwiezieni do Anglji w roku 1628, w cztery lata później powrócili z nowym zasiłkiem ludzi i większą w przyszłość otuchą, skoro wrogowie Kościoła katolickiego, protestanccy Holendrzy i duchem spokrewnieni z nimi Anglicy, zostali z Kanady wyparci. Coraz to nowe pola pracy otwierały się dla misjonarzy, bo rząd francuski wspierał ich na każdym kroku, a przedewszystkiem gubernator Kanady, zarówno dzielny wojownik, jak i gorliwy katolik, dbający o dobro swych poddanych. Niebawem jednak liczba misjonarzy okazała się za małą, potrzeba było nowych zasiłków z Francji. To też już w roku 1636 prowincjał OO. Jezuitów francuskich przysłał pięciu misjonarzy, a wśród nich znajdował się przyszły apostoł Irokezów i męczennik za wiarę, którą im głosił O. Izaak Jogues.

Jakkolwiek ludność Irokezów nie liczyła w roku 1640 nad 25.000 dusz, przecież było pomiędzy nimi 2.200 wojowników, a nadto ten naród był najdzikszym z tych ludzi, których Francuzi w Kanadzie poznali. Wprawdzie nie powodowała nimi chciwość, ani chęć zbogacenia się, lecz za to chęć panowania i wstęt do znoszenia jakiegokolwiek współzawodnika. Przeszło pół wieku imię ich powtarzano ze strachem.

Przed zbliżeniem się do nich Francuzów, Holendrzy rozdali im strzelby, a broń ta podwoiła ich przewagę nad innymi plemionami.

Początkowo zdawało się, że zwracają tylko uwagę na dzikich i na nadchodzące towary, jednak później obecność obcych, których panowania się obawiali, i wstręt, jaki mieli do wszystkich religijnych zasad, któreby ich wyuzdane namiętności hamować mogły, poddały im myśl do walki na śmierć i życie a ponieważ znali wpływ Francuzów na inne plemiona, dlatego najwięcej czynili zasadzek na „biało-skórych“ (Francuzów) i na czarne suknie.

O. Jouges padł ich ofiarą.

Chociaż O. Jouges wiedział o nienawiści Irokezów, jaką pałali oni przeciwko Francuzom, a szczególniej przeciw misjonarzom, nie liczył się z niebezpieczeństwem, ale przebywał wśród nich i gorącemi słowy zachęcał ich do przyjęcia wiary Chrystusowej. I przykładnem swem życiem, a jeszcze więcej opowiadaniem o przyszłem życiu zdołał zjednać sobie



Śmierć Apostoła Irokezów.

wśród tych ludzi grono przyjaciół, którzv niejednokrotnie od śmierci go wybawili. A śmierć ta już nieraz zaglądała mu w oczy. Oto na pierwszym naszym obrazku widzimy O. Jougesa przywiązanego za ręce do dwóch pali. Jeden z Irokezów macza jakieś narzędzie w naczyniu z roztopionym metalem i metal ten spuszcza kroplami na bose nogi męczennika. Inni siedzą lub stoją dookoła i naigrawają się z świętego męczennika. A O. Jouges i w tak niebezpiecznem położeniu nie upadł na duchu, lecz przemawiał do oprawców swoich, tłomacząc im wzniosłe zasady wiary Chrystusowej. Skruszeni kaci zwolnili go z więzów i puścili wolno.

Przeznaczonem mu jednak było ponieść śmierć męczeńską dla Chrystusa: Irokezi, wstydząc się niejako pozbawić życia tak świętego męża otwarcie, uczynili to skrycie. Oto pewnego dnia podstępnym sposobem zaprosili go do swojej chaty na wieczerzę. W chwili, gdy O. Jouges przez próg chaty przechodził, zadano mu gwałtowny cios siekierą, który go trupem powalił na ziemię. Natychmiast odcięto mu głowę i założono na jeden z pali, otaczających tę miejscowość, z twarzą zwróconą ku drodze, którą przyszedł.

Gdy zginął śmiercią męczeńską najgorliwszy z misjonarzy, zdawało się, że praca nad nawróceniem Irokezów będzie musiała ustać. Stało się jednak inaczej, gdyż nadspodziewanie naczelnik plemienia zganił publicznie to podstępne morderstwo, a morderca, kiedy został ujęty przez Europejczyków i na śmierć skazany, żałował swej ogromnej przewiny i chrzest święty przyjął. To sprawiło, że coraz więcej tak Irokezów, jak i Huronów przyjmowało wiarę katolicką, a wyrzekało się bałwochwalstwa. Śmiało można powiedzieć, że męczeńska śmierć O. Jougesa dała początek nawróceniu Kanady.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Ślepa niewolnica.

Zwróciło to ich uwagę i jeden z nich podjechał do okna, przez które stanąwszy w strzemionach mógł zajrzeć do okna. Gdy spojrzał wydał krótki okrzyk zadowolenia. W tej chwili jednak zagasły świece na ołtarzu i w kaplicy zapanowała ciemność.

— Jest w kaplicy, widziałem go! — zawołał ów jeździec do towarzyszów. — Trzeba otoczyć kaplicę, nie wyjdzie nam!

Jeźdźcy objechali kaplicę dokoła i przekonali się, że drugiego wyjścia z niej niema.

Pierwszy jeździec, którego koń był przywiązany pod drzewem, wskoczył na niego, stanął na siodle i mógł wygodnie wygnieść małe kolorowe szybki w kaplicy.

Gdy to uczynił, udało mu się łatwo otworzyć okno, wszedł więc przez nie do wnętrza, w którem panowała głęboka ciemność.

Przedewszystkiem przystąpił do drzwi i otworzył je.

Jeden z jeźdźców pozostał na warcie, drugi wszedł także do kaplicy, zbliżył się do ołtarza i przy pomocy stali i krzesiwa zapalił świece. Przeszukali gruntownie całą kaplicę, lecz naprózno... Nagle zauważył pierwszy jeździec przy kropielnicy mały żelazny pierścień na podłodze.

Pochylił się i spostrzegł, że brzeg tafli w tem miejscu był widoczny, co świadczyło, że musiała być podnoszoną. Zawołał swoich dwóch towarzyszów i pokazał im zdradzieckie miejsce. Następnie ujął pierścień i bez wielkiego trudu podniósł taflę.

Okazał się czworokątny, ciemny otwór dość wielki na pomieszczenie człowieka.

— Tędy zeszedł, — rzekł do kolegów, — tam musi być piwnica, lub grobowiec. Dajcie mi świecę, zejdę za nim.

Drugi jeździec przyniósł świecę i podał ją towarzyszowi, który przykląkł i zaświecił do otworu.

— Tam są schody! — rzekł, tu na górze nie potrzebujemy szukać kanclerza, ani czekać na niego. Jest on tam!

Zeszedł.

Dwom jego kolegom, zdawało się jak gdyby światło, które niósł z sobą nikło, zagasło i pomyśleli, że musi tam być korytarz podziemny.

Zawołali swego kolegi.

Nie było jednak odpowiedzi.

— Muszę zobaczyć, co tam jest, — rzekł drugi jeździec i zeszedł na dół.

Ten także zniknął w ciemności, a w kaplicy robiło się coraz widniej.

Trzeci jeździec stał na górze przy otworze i czekał.

Po niejakim czasie, nie mogąc się doczekać swych towarzyszów, zawołał na nich. Nie było żadnej odpowiedzi.

Ciekawość skłoniła trzeciego jeźdźca do zejścia w głąb, aby zobaczyć, co robią dwaj jego koledzy, oraz czy tam niema kanclerza.

Wziął on drugą świecę i zeszedł w głąb. Znalazł się w rodzaju korytarza. Wołał. Panowała jednakże cisza. Gdzie byli dwaj jego towarzysze? Chciał iść dalej, nagle jednak zagasła świeca, którą trzymał w ręku.

W tej chwili na spienionym koniu przybył Żarnecki do kaplicy i spostrzegł przy niej konie trzech jeźdźców z gwardji królewskiej. Jeźdźcy, których widać nie było, musieli być w kaplicy.

Żarnecki zeskoczył z konia, przywiązał go również i wszedł do kaplicy. Nagle Żarnecki spostrzegł, że znany mu otwór jest otwarty.

Gdzie był kanclerz? Gdzie byli trzej jeźdźcy? Że jeźdźcy zeszli do otworu, było niewątpliwem. Żarnecki mógł ich teraz uwięzić chwilowo. Przykrył więc otwór taflą, potem wyszedł z kaplicy i zamknął ją za sobą a następnie udał się do owego poblizkiego niezamieszkałego budynku.

Zbliżywszy się do tegoż, Żarnecki zaczął wołać Paca. Nie było jednak żadnej odpowiedzi. Wszedł więc do sieni prowadzącej wewnątrz starego budynku. Powietrze było duszne i wilgotne. Potrzeba jednak było dowiedzieć się, gdzie się kanclerz znajdował.

Kanclerz Pac, był rzeczywiście w kaplicy, gdzie go widział jeden z jeźdźców i ażeby się ukryć przed nimi, wszedł do podziemia a taflę, przez którą się wchodziło, starannie zamknął za sobą.

Głęboka, nieprzeniknione cisza otaczała go. Powietrze było tak duszne, że zaledwie mógł oddychać. Groziło mu zaduszeniem.

Macając szukał drogi w tej grobowo ciemnej przestrzeni. Nagle uczuł, że na dole znajdowały się stare, napół spruchniałe trumny.

Podziemie było wielkie. Wiele trumien różnych stało dookoła. Dostał się wreszcie do jakiegoś wąskie-

go korytarza, ale już tracił przytomność... Przebiegł go dreszcz śmiertelnej trwogi, i upadając wydał głośny krzyk o pomoc. W tej chwili wydało mu się, że zbliża się do niego jakaś istota. Jakiego rodzaju ta istota być mogła, nie był w stanie rozpoznać. Nie miał także dość siły, aby czuć wyraźniej przestrach, zawołać, lub też podnieść się.

Czuł tylko, że go dotykała jakaś ręka ludzka.

— Chodź! — wstań! — mówił do niego głos jakiś, — ja cię wyprowadzę! Tutaj nie można zostać.

Instynkt zachowawczy obudził resztę jego sił. Podniósł się. Czuł, że pomagają mu dwie ręce, że ktoś ciągnie go za sobą. Z wielkim trudem Pac opierał się senności a ręka ciągnęła go dalej korytarzem, potem po schodach. Następnie zdawało mu się, że widzi światło dzienne... czuł, że jest ocalony... utracił zmysły i padł z głuchym krzykiem.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Zbój „Ryś".

(Dokończenie).

Zbój, herszt Ryś tak przemawiał do swych podwładnych zmienionym głosem:

— Towarzysze, pamiętacie ten dzień, kilkanaście lat temu, gdym was namówił do zbójeckiego życia. Istotnie byliście wówczas włóczęgami. Pamiętacie przysięgę wierności, złożoną mnie hersztowi? Dotrzymaliście słowa, nigdy nie zdradziliście. Czy pamiętacie nieodżałowanego Selima towarzysza, który dał głowę pod katowski miecz, a nas nie wydał?

Przy tych słowach wielka rzewność odbiła się na twarzy herszta.

— Pamiętacie również wszelkie smutki i wesele. Przeszłość moja jest dla was tajemnicą, a mimo tego ja wasze stosunki dawne znam. Zresztą poco wam mam mówić o sobie? Świat mię ciężko skrzywdził, musiałem zejść z jego oczu, to za dużo do opowiadania. Przystępuję do rzeczy... Otóż ta złotowłosa dziewczyna jest moją — córką.

Jego ostatnie słowa sprawiły wielkie wrażenie. Po dłuższem milczeniu ozwały się głosy:

— Jakto? Skąd o tem wiesz? — tyle czasu u nas przebywała i nie poznałeś?

Herszt pobladły nieco odparł:

— Medalik, który przed wami i mną ukrywała, dowodzi wszystkiego. Zresztą ta dziewczyna bardzo mi przypomina najdroższą żonę. Czy ona jeszcze żyje? — rzekł cicho — i łza stoczyła się po policzku spalonym słońcem i wiatrami.

Przykry nastrój zapanował między zebranymi, lecz Ryś przemógł się i ciągnął dalej:

— Teraz rozłączymy się, ja zmieniam zupełnie tryb życia, aby jednak was nie zostawić na rozdrożu, postaram się o waszą przyszłość. Brat mojej żony i najdroższy zarazem przyjaciel, jest opatem w klasztorze na Pojezierzu. Ja wstąpię do klasztoru jako braciszek-posługacz i będę pokutował za moje zbójeckie życie, a wy, jak który chce, zostanie narazie robotnikiem przy klasztorze i będziecie żyli jak ludzie. Ja tak chcę i musicie mię usłuchać... dodał surowiej. Wszystko jest zapewnione, tylko Sęp pojedzie jutro do klasztoru z listem.

Umilkł... Między zbójami wszczął się gwar i do późnej nocy mówiono na ten temat.

Cichutko spadł miękki śnieg na ziemię i otulił ją białym płaszczem. Iza wyjrzała z jaskini i radośnie klasnęła w dłonie. Jakżeż ślicznie padały płatki śniegu, jak rój srebrnych motyli, spadały miękko, pieszczotliwie, całując drzewa, ziemię, przystrajając cały las. Obsiadały głowę, ręce, całą postać dziewczyny. Nie jednej to zimy oglądała ona las w śniegowej krasie, ten sam zakątek i swą polankę. Niemałe było Izy zdziwienie, gdy herszt przywołał ją, oznajmiając, że jutro — jutro wróci do domu, do kochanej mateczki. Nie... nie mogła wierzyć w tak nagłe szczęście; nie zauważyła nawet, jak Ryś z dziwną tkliwością przyglądał się jej radości. Ba... nie spostrzegła, gdy odwróciwszy się, otarł nieznacznie łzę. Wybiegła na dwór i brodząc w śniegowym puchu, dobiegła najbliższego drzewa; objęła oburącz jego chropawy pień i przyciskając z nadmiaru radości do serca, szeptała mu:

— O mój drogi przyjacielu, jakam szczęśliwa, skończyła się moja nieloda, wracam do domu; czy ty rozumiesz, co to znaczy po kilkuletniej niebytności, zobaczyć najdroższych? Ale teraz żegnam ciebie, czy się jeszcze kiedy zobaczymy?

Drzewo, jakby zrozumiało mowę dziewczęcia, poruszyło nagiemi konarami z żalu i sypnęło śniegowemi łzami. Iza obiegła kilka innych drzew; żegnała się z niemi, jak z przyjaciółmi. A na końcu polankę, miejsce swych częstych dumań oraz miejsce, gdzie się odwróciła karta jej życia. I tak pożegnała swych niemych przyjaciół; wróciła do jaskini; aby spędzić ostatnią noc wśród puszczy.

Ledwie zajaśniał brzask, otworzyła oczy, zebrała rozproszone podczas snu myśli i przypomniała sobie, że dziś wróci do matki. Po krótkim czasie żegnała zbójów. Każdemu z nich podała rękę, życząc, aby wstąpili na prawą drogę, nie wiedząc o ich zamiarze. A oni, milcząc, pospuszczali głowy i gdy przestąpiła próg, powiedli za nią wzrokiem, jakim żegna wierny pies na zawsze swego pana. Licznemi krętemi ścieżkami przebyła Iza z Rysiem część boru i wydostali się na główną drogę wśród lasu, gdzie czekały na nich sanie. Ruszyli... na świecie robiło się coraz jaśniej. Po długiej jeździe przebyli państwo olbrzymów litewskich, siedzibę żubra i niedźwiedzia. Przed oczyma Izy zamajaczyły dachy zabudowań dworskich, matki. Łzy przysłoniły mgłą widok, uczuła przyśpieszone bicie serca. Minęli stary, poczerniały krzyż, wedle drogi stojący, który dawniej ona stroiła kwieciem; jeszcze więcej pochylony, ale burze nie złamały go. Żywe wspomnienia stanęły Izie w pamięci i jakieś radosne wzruszenie targnęło jej sercem. Wtem sanie zatrzymano; tu miał ją opuścić Ryś. Podniósł się z siedzenia, wziął drobne jej ręce w swoje, uścisnął gorąco i pocałował jej czoło. Iza spojrzała na niego; twarz miał zalaną łzami, oczy błyszczały jakoś tkliwie i rzewnie. Coś błysnęło w jej umyśle, zdawało się jej, że to nie zbój Ryś, ale ktoś bliski i drogi. Lecz myśl ta prędko odleciała. Herszt wręczył Izie jakiś list i prosił o oddanie go jej matce. Sanie ruszyły z miejsca. Ryś długo za niemi spoglądał, aż znikły mu z oczu, rozpłynęły się we mgle, która przesłoniła mu źrenice i jako łzy spłynęła po licach.

II.

Drugie kury zapiały we wsi i po chatach rozpoczął się ruch. We wszystkich chatach warzono śniadanie; z kominów unosiły się dymy, rozścielając się brudną płachtą ponad nieskalanej białości pola. We dworze p. Manieckiej również krzątano się koło ran-

nego posiłku dla ludzi i strawy dla bydła. Zadźwięczały janczary i sanie zajechały przed dwór, z których wysiadła młoda panienka, otulona futrem. Bezwłocznie kazała się zaprowadzić do pani domu. W swoim pokoju, raczej celi klasztornej klęczała dziedziczka siwa, przygarbiona, odmawiając ranne modlitwy. Przy wejściu gościa podniosła wyblakłe oczy z za okularów i spojrzała pytająco. Przybyła podeszła bliżej; nogi pod nią drżały, zbladła raptownie, a usta odmówiły posłuszeństwa.

— Czego pani sobie życzy? zapytała staruszka, przypatrując się jej bacznie.

Zapytana poruszyła ustami i głosem przepełnionym łzami, zawołała, padając na kolana:

— Mateczko moja najdroższa.

Staruszce jakby otworzyły się oczy, poznała swe dziecię.

— Izo, córko moja tyżeśto o dziecię najdroższe? Z niezwykłą swemu wiekowi energją, podniosła klęczącą, i przyciskając ją do piersi, okrywała pocałunkiem.

Wielka radość zapanowała między służbą, pamiętającą Izę dzieckiem. Szeptali między sobą z współczuciem:

— P. Bóg pocieszył naszą biedną panią i wrócił jej córkę; co też się ta biedna wycierpiała.

Iza tymczasem opowiadała swe koleje życia matce i podała jej list. Matka drżącemi rękami rozdarła kopertę i poczęła czytać. Po skończeniu zbladła i wypuściła list z ręki. Po chwili przyszła do siebie i podała go córce. Iza przebiegła z ciekawością list oczyma:

Ukochana żono!

Czyś Ty kiedy przypuszczała, że Twój Adek zostanie słynnym zbójem? Nie... nigdy... a jednak, nie mogę tego... Ach ukochana Marto, jak ciężko mię ludzie skrzywdzili, osądzili mię na banicję, skazali niewinnie; jak straszny ból przeniknął Twe serce, gdyś o tem usłyszała. Ale jeden Bóg i Ty wiedzieli, żem niewinny. Dowiedziałem się, że mi cześć wrócili, ale nie czas już było mi wracać do świata, jam zeszedł z prawej drogi... czym miał inne wyjście? — Wtenczas to zwątpienie zapukało do mego serca, wiara mię odstąpiła...O Marto! nie było Ciebie, by mi ją powrócić; to najgorsze ze wszystkiego, to pierwszy krok do występku. Ja, grzesznik korzę się przed Tobą, spowiadam z mych grzechów.

Nasze dziecię, Iza wróciła mi ten najdroższy skarb; o zadałem Ci dużo boleści i cierpień, to ostatnie nieświadomie, wybacz... błagam. Ale teraz nawróciłem się; gdy będziesz czytała ten list, ja będę w drodze do klasztoru, wstępując na drogę pokuty. Życie me, czyny opowie Ci Iza. Mimo tego, że wiele popełniłem nieprawości, na życie ludzkie nie targnąłem się.

Nie mogę, nie potrafię Ci wszystkiego napisać, serce Twe dopowie Ci resztę. Przebacz, jeszcze raz błagam. Izę poznałem po medaliku, który jej niegdyś dałem; gdyby go przedemną nie ukrywała, możeby wcześniej wróciła do Ciebie. Żegnaj Ukochana... pozostańcie z Bogiem. Pozdrów syna Ryszarda... Bardzo nas życie doświadczyło, jedna Ty wytrwałaś... i tam u Boga otrzymasz nagrodę.

Jaki nawał czasu dzieli nas, nie zobaczymy się już nigdy. Schyłek mego żywota przejdzie mi w klasztorze Ludka.

Ach! cobym miał Tobie powiedzieć, wylać wszystko z serca mego, ale to próżna, próżna nadzieja. Żegnaj... Na wieki Twój *Ryszard (Ryś)*

Gdzieniegdzie znać było plamy żółtawe; zapewne ślady gorących łez.

W kilka dni potem przyjechał Ryszard ze szkół na ferje Świąt B. Narodzenia. Czułe i serdeczne było powitanie rodzeństwa po długiem niewidzeniu. List ojca głęboko zastanowił Adka, lecz nie dał poznać po sobie, jakie uczucia wrzały w jego sercu. Raz spytała się go Iza:

— Czemu ojciec tak blisko przebywał obok mateczki, a nie dał znać o sobie?

— Prawda, ty tego nie wiesz — odparł Adek. — Dawniej, gdyś ty była jeszcze maleńką, mieszkaliśmy w okolicy Krakowa, a gdy ojciec odjechał, przenieśliśmy się tu na Litwę. Tam wszystko przypominało srom zadany naszemu domowi, każda rzecz, każdy kwiatek i każde drzewo wzbudzało wspomnienia przykre. Dziwnym trafem rodzice byli blisko siebie, nie wiedząc o tem wzajemnie.



Zbój Ryś przemawiał do towarzyszy.

Od przybycia Izy, p. Maniecka zmieniła się bardzo; więcej się postarzała, pochyliła, a oczy dawniej szafirowe, zbladły od łez często wylewanych, wyglądały jak jesienne pogodne niebo, wymyte poranną rosą. Często rozmawiała z dziećmi swemi o ojcu, a większą część dnia spędzała w swym pokoju, przed wizerunkiem Ukrzyżowanego, modląc się żarliwie. Przedewszystkiem pragnęła zobaczyć się z mężem, ale wielkie śniegi przeszkodziły podróży. Dzień Narodzin Pańskich przeszedł im w nastroju uroczystym; radzi byli, że nie musieli zabawiać gości; a pragnęli samotności po tak nagłych wrażeniach.

Minęły Święta... P. Maniecka z tęsknotą oczekiwała poprawienia się dróg, a rychłego zobaczenia się z mężem.

Po roztopach wiosennych, gdy było pięknie i sucho, ruszyła w podróż i po kilkudniowej, śpiesznej jeździe zawitała u wrót klasztoru.

Jakie było powitanie męża z żoną, przywiązanych do siebie całą duszą i sercem, a tak przez los brutalnie rozdzielonych, trudno opisać. Co oni mieli sobie do wypowiedzenia?!... Jednak musieli się na nowo rozłączyć, kto wie, czy nie na zawsze... P. Maniecki, a były zbój Ryś, nie powrócił już do domu; on jako najnędzniejszy braciszek zakonny spełniał wszelkie posługi, aby wynagrodzić Bogu dawne życie. Jego towarzysze również urobili się na prawych ludzi i z klasztoru rozeszli się w świat. Niejeden błogosławił i wspominał o dziewczynie aniele, która z pośród złych ludzi wyszła nieskalana, czysta, do niej żaden występek nie przylgnął, a sama szafowała swą cnotą.

Iza wyszedłszy zamąż, pielęgnowała nadal swą starą matkę, najtkliwszą otaczając ją opieką.

Było to 7-go sierpnia p. Maniecka przyjąwszy w parafjalnym kościółku Chrystusa, wróciła do domu. Przed samym południem siedziała cała rodzina zebrana w jej pokoju, słuchając opowiadań Adka o życiu uniwersyteckiem. Nagle matce zrobiło się słabo — wszyscy pobiegli ratować, lecz już nic nie pomogło. Pobłogosławiwszy swe ukochane dzieci, małego wnuczka, wzniosła oczy w górę i jakby tam kogoś widziała, wyciągnęła ręce, szepcąc:

— Tam już nas nikt nie rozłączy. —

Z Imieniem Boskiem na ustach, zamknęła na wieki oczy staruszka sterana życiem, ciężko doświadczona. Zgon jej był podobny do zachodu pięknego, pogodnego dnia, jakby w nim nie szalały burze wielkiego cierpienia.

Na drugi dzień niespodzianie otrzymali Iza z Adkiem telegram od wuja z klasztoru. — Wczoraj t. j. 7. VIII. umarł Wasz ojciec, przyjeżdżajcie.

Jak grom spadła ta wiadomość na znękane śmiercią matki, dzieci. Nie mogli utulić się w żalu, po tak drogiej stracie.

Na wiejskim cmentarzu stoją dwie mogiły, połączone wspólnym pomnikiem; nad niemi szumią brzozy pieśń spoczynku; z pól i lasów dolatuje zapach wiosny, gwar życia, łącząc się z lekkim podmuchem wiatru, kołysze śpiących w ciemnej mogile....

Jemu śni się, że jest zbójem Rysiem, panem nieprzebytej puszczy litewskiej...

A ona śni młodość swego życia; zda się jej, że nad nią szumią odwieczne dęby i sosny puszczy niepołomickiej, świadki jej szczęśliwych dni i ciosu, który złamał jej życie....

Wo-nka.

Poradnik gospodarczy.

Gospodarstwu łąkowemu poświęca się u nas bardzo mało uwagi. Najczęściej zostawia się łąki własnemu losowi, troszcząc się jedynie o zebranie mniej lub więcej marnego siana. W ten sposób 17 proc. z górą obszaru naszych ziem, znajdujących się pod łąkami (i pastwiskami, które zwykle traktowane są podobnie lub jeszcze gorzej), użytkowanych jest połowicznie lub daje wprost znikome plony.

Tymczasem, przy odpowiednich staraniach, wydajność naszych łąk dałaby się zwiększyć niepomiernie. Niestety, zbyt silnie jeszcze zakorzenione jest mniemanie, że łąki są błogosławionym warsztatem, który bez żadnych wkładów i zabiegów, pewnego plonu zawsze dostarczy. Przy dzisiejszym głodzie ziemi i całym tak bogatym dorobku wiedzy rolniczej stanowisko podobne utrzymać się nie da.

Łąki bywają różne, co się odbija tak w ilości, jak i jakości zbioru. Często stan ich można naprawić niewielkim nakładem: kiedyindziej poprawa wymaga gruntownej zmiany istniejących warunków i pociąga za sobą odpowiednio zwiększone koszty. Stąd łatwo zrozumieć, jak ważną jest rzeczą dla rolnika, by zdawał sobie sprawę z istotnej wartości łąki i znał tkwiące w niej możliwości.

Znającemu roślinność łąkową oku, wiele cennych wskazówek może dostarczyć sam jej skład, zespół gatunków, które ją tworzą. Oczywiście mowa tu o roślinach dzikich, niewprowadzonych na łąkę przez człowieka, rośliny takie powiedzieć mogą przez swoje występowanie na pewnych łąkach, silniejsze lub słabsze rozrastanie się i wygląd niejedno o rodzaju i właściwościach gleby, na której rosną.

Rośliny łąkowe rozpadają się zasadniczo na dwie grupy; trawy motylkowe i koniczynowate; inne stanowią dla łąk składnik podrzędny, bez wartości lub mniej lub więcej szkodliwy. Trawy udają się zwykle na wszystkich glebach, niektóre z nich mają jednak specyficzne wymagania co do gleby lub pewnych składników pokarmowych. Bardziej wybredne są motylkowe, najbardziej jednak przywiązane do pewnych właściwości gleby są wymienione rośliny podrzędne, najczęściej występujące na łąkach w charakterze chwastów.

Chwastem takim jest naprzykład podbiał, pojawiający się jako jeden z pierwszych wiosennych kwiatów, o ładnej złotej barwie. Później dopiero, po odkwitnięciu, ukazują się duże liście tej rośliny, kształtu i wielkości podstawy końskiego kopyta, od strony spodniej białawe. Występowanie podbiału w większych ilościach cechuje zwykle ciężkie, zwięzłe gliny, zwłaszcza, jeżeli pozostała roślinność tworzy luki, wyraźne wolne miejsca nie pokrywające gleby dokładnie. Gliny takie są ogólnie z natury zasobne, wymagają jednak dla rozwoju dobrego łąkowego poprostu, silnego zwapnowania.

Jeżeli obok podbiału mamy na łące dużo lucerny chmielowej, drobnej żółtej kwitnącej rośliny, przypominającej koniczynkę, wreszcie różnych gatunków ostów, spodziewać się winniśmy gruntu marglistego, bardzo wdzięcznego za znawożenie siarczanem amonowym, który sowicie się opłaci.

Glebę zasobną w wapno, wskazuje obfite pojawianie się koniczyn, dzikiej marchwi, drobnych traw wysokich, jak rajgras francuski, znany inaczej wysypką wyniosłą, wiklina łąkowa i tymotka. Łąki tego typu przy nieznacznych staraniach, dostarczyć mogą bardzo wysokich zbiorów i wartościowego siana.

Brak koniczyn i traw drobnych, natomiast obecność szczawiku, skrzypu, tomki wonnej i krwiściągu (kwitnącego ciemnoczerwonemi pałkami), znamionuje gleby kwaśne potrzebujące wapna.

Występowanie wrzosu, mchów i porostów, psiej trawki i borówek jest nieomylną wskazówką gleby silnie zakwaszonej, bardzo ubogiej w składniki pokarmowe, gleba taka wymaga wszechstronnego, bardzo silnego nawożenia, często i meljoracji.

Zbyt wysoki poziom wody gruntowej odbija się w poroście łąki przez znaczny procent t. zw. traw kwaśnych czyli turzyc, sitów, skrzypów, wełnianek (o srebrno-białych, puszystych główkach, tworzących już zdaleka widoczne na mokrych łąkach białe plamy) i obfite podszycie mchami. W wypadkach podobnych poprostu pierwszym krokiem do poprawy łąki jest odpowiednie osuszenie.

Wyższą jeszcze klasę bagnistego gruntu ma wskazywać trzcina. Przeciwnie, bardzo ubogi i kwaśny grunt znamionują torfowce (mchy, tworzące gąbczaste poduchy w miejscach wilgotnych, bardzo ważne przez główny udział w powstaniu pokładów torfu.

Trudno tu szerzej rozpatrywać zależności roślinności łąkowej od podłoża, trzebaby najpierw zaznajomić się z wielu mniej znanemi roślinami, coby zabrało za wiele miejsca. Z krótkiego tego przeglądu widać, że rośliny łąkowe odzwierciedlają wiele właściwości gleby, pozwalając na wyciąganie wniosków o dużem znaczeniu praktycznem.

Dr E. Ralski.

KRONIKA.

Pogoda w r. 1929. Sławny kalendarz meteorologiczny Schaflera przepowiada na sierpień nie mniej jak 11 burz, prócz tego dwa większe deszczowe dnie, z których jeden wypada na Wniebowstąpienie Pańskie. Naogół będą wszystkie niedziele wiosenne ponure i deszczowe. Pierwsza burza wiosenna ma być 28 marca. Święta Wielkanocne będą deszczowe. I na Zielone Święta przewiduje powołany powyżej kalendarz nie lepszą pogodę. W piątek i sobotę ulewne deszcze w niedzielę deszcz ustanie, lecz będzie pochmurno i zimno, w poniedziałek gwałtowny deszcz i wichura. Sezon kąpielowy rozpocznie się w czerwcu burzami i piorunami, gdyż w pierwszym tygodniu czerwca są zapowiedziane aż cztery burze, drugi tydzień czerwca będzie upalny i nawiedzony tylko jedną burzą, natomiast trzeci tydzień będzie miał temperaturę bardzo niską, burze, wichry i deszcze. Miesiące lipiec i sierpień wykażą nadzwyczajne upały, lecz ochłodzenie przyniesie 12 burz w lipcu i 11 w sierpniu. Wrzesień łagodny i ciepły, z trzema burzami tylko. Październik mglisty, listopad mglisty początkowo. później przymrozki i deszcze, możliwy śnieg. Nie należy się też i w grudniu niczego dobrego spodziewać: mgły, wichry, deszcze i śnieg. Na Boże Narodzenie burza, w drugim dniu świąt obfity śnieg i znaczne zimno. Na Sylwestra albo deszcz, albo śnieg.

Zamordowanie córki b. posła. Do władz krakowskich nadeszła wiadomość, że w Nowy Rok po południu w Wyciążach pod Krakowem zastrzelona została z rewolweru córka b. posła i ministra w gabinecie p. Moraczewskiego, Wójcika, Aniela, lat 20 licząca. Tragedja rozegrała się na tle zawiedzionej miłości. Sprawca zbrodni Stanisław Cekaj, syn rolnika z Braniç, po dokonanym czynie, wybiegł z domu na podwórze i usiłował również pozbawić się życia. Strzał jednak nie był śmiertelny. Jak się dowiadujemy, Cekaja przewieziono na polecenie prokuratury do Krakowa i umieszczono w szpitalu więziennym.

Omal nie ugotowali się w pociągu. W nocy z 26 na 27 ubiegłego miesiąca około północy w pociągu osobowym, zdążającym z Krakowa do Lublina, między stacjami Rzemień a Rzochów, zdarzył się wypadek, który omal nie pociągnął za sobą ofiar w ludziach. W przedziale II klasy w starym, rosyjskiego typu, wagonie, jechało pięciu pasażerów. Nagle około północy zbudzili się wskutek piekielnego gorąca oraz kłębów duszącej pary czy dymu w przedziale. Przerażeni podróżni rzucili się do drzwi przedziału, chcąc wydostać się na korytarz. Tymczasem po otwarciu drzwi z korytarza buchnęła do przedziału olbrzymia ilość zgęszczonej pary, która parząc zmusiła podróżnych do cofnięcia się do przedziału. Ciemność w przedziale powiększała panikę. Nie mogąc otworzyć zaryglowanego okna w przedziale, jeden z podróżnych rozbił szyby. przyczem dotkliwie się poranił. Przez wybite okno dwóch podróżnych wyskoczyło, doznając poważnych uszkodzeń cielesnych. Jeden z podróżnych mimo parzących kłębów pary, zdołał wreszcie odszukać na korytarzu rączkę hamulca bezpieczeństwa. Rączka ta była tak rozpalona, że podróżny ów doznał silnego oparzenia całej ręki. Po zatrzymaniu pociągu stwierdzono, że w wagonie pękła uszkodzona już poprzednio rura, doprowadzająca parę do ogrzewania wagonu. Pokaleczonych i oparzonych podróżnych opatrzył prowizorycznie jadący w tym przedziale lekarz, a dopiero w trzy godziny po wypadku na stacji Rozwadów zbadał stan poszkodowanych lekarz kolejowy, którzy odnieśli przeważnie silne poparzenia niektórych części ciała.

Ofiara kłusownika. Donoszą z Krasnego: Onegdaj obeszła wieś Kutkorz i okolicę Krasnego tragiczna wieść, iż w lesie hr. Wodzickiego, nad Pełtwią, znaleziono ciężko ranionego i nieprzytomnego Stefana Faryzeja, gajowego tamtejszych dóbr. Na miejscu przeprowadzone oględziny wykazały, iż otrzymał on postrzał z dubeltówki, oddany z ukrycia. W ciele jego tkwiło kilkanaście śrutów. Natychmiast odwieziono rannego do szpitala powszechnego w Złoczowie, gdzie jednak mimo energicznych zabiegów lekarskich, nie odzyskawszy przytomności, zmarł. Władze policyjne rozpoczęły wnet energiczne śledztwo. Sprowadzony na miejsce zbrodni pies policyjny, nie mógł jednak wskazać sprawców. Dopiero komendant miejscowego posterunku, przodownik Götz, po mozolnych dochodzeniach wpadł na trop dwóch podejrzanych osobników, których też zdołał aresztować. Wszelkie szczegóły co do osób sprawców ze względu na toczące się śledztwo trzymane są w tajemnicy. Wedle krążących opowiadań, nieszczęśliwy padł ofiarą kłusowników, którzy nienawidzili go za nadzwyczaj srogie tępienie ich.

Zabójstwo obok Krosna. W gminie Sulistrowa obok Krosna w czasie sprzeczki między tamtejszymi mieszkańcami przyszło do zabójstwa. Mianowicie trzej gospodarze, Andrzej Szymański, Jan Węgrzyn i Szczepan Szymański poczęli sprzeczać się z Piotrem Jastrzębskim o półkoszek do wozu. Spór ten doszedł do tak wielkiego zacietrzewienia, że Szymańscy z Węgrzynem rzucili się na Jastrzębskiego i ciężko pobili go kołami, wyrwanymi z płotu. Jastrząbski wskutek tego pobicia w sześć godzin później zakończył życie. Policja w tej sprawie przeprowadziła dochodzenia i aresztowała wszystkich trzech sprawców zabójstwa Jastrzębskiego, których odstawiła do sądu.

Zatrute ryby w rzece. Donoszą z Radomska, że jeden z chłopów, zamieszkały na t. zw. Dobach pod Radomskiem, idąc onegdaj brzegiem Warty, zauważył, iż cała powierzchnia rzeki pokryta była półżywemi rybami, które można było łowić rękoma. Cała wieś rzuciła się na połów. Niektórzy chłopi zdobyli po dwa pełne wozy ryb. Dochodzenia policyjne wykazały, że ryby te były oszołomione kwasem, który wskutek pęknięcia rezerwoaru jednej z fabryk przedostał się do koryta rzeki. W obawie przed masowem zatruciem wysłano próbki ryb do zbadania.

Zawisł na haku. Z Sosnowca donoszą: Onegdaj zdarzył się w Czeladzi wstrząsający wypadek, którego ofiarą padł 5-letni Henryk Gustawek. Oto chłopczyk, zamknięty w domu ze swą 4-letnią siostrą, zapragnął opuścić przymusowe więzienie i zabawić się wspólnie z widzianymi przez okno kolegami. Nie mogąc wyjść drzwiami, chłopczyk postanowił opuścić mieszkanie oknem. W tym celu przysunął sobie jedno ze znajdujących się w mieszkaniu krzeseł i z pomocą tegoż otworzył okno, usiłując spuścić się na ziemię. Na nieszczęście chłopczyk zaczepił się o ostry, przytwierdzony do zewnętrznej strony ściany hak żelazny i rozdarłszy sobie cały policzek, zawisł na nim w powietrzu. Straszny krzyk dziecka zaalarmował jednego z sąsiadów, który uwolnił dziecko z okropnego położenia, a owinąwszy następnie w chustkę, pobiegł z nim do ambulatorjum miejscowego szpitala, gdzie przystąpiono do natychmiastowego ratunku. Matka nieszczęśliwego dziecka na wiadomość o wypadku zemdlała kilkakrotnie i ciężko zaniemogła.

„Cudowny Michałek“. Głośnym już dziś w Polsce tak zwanym „cudownym Michałkiem“, o którym pisaliśmy już w „Roli“ zaopiekowały się władze duchowne i umieściły go w zakładzie księży Salezjanów imie-

nia ks. Siemca przy ul. Lipowej w Warszawie. W dniu 24 grudnia ub. roku, podczas wieczerzy wigilijnej, Michałek zaczął nagle wygłaszać „kazanie". Obserwujący go uważnie prefekt, ks. Łatko, odniósł wrażenie, że Michałek znajduje się w stanie hipnotycznym. Po wygłoszeniu „kazania" Michałek wyszedł na podwórze zakładu, a stamtąd udał się na dworzec i dostał się do Michałowa, gdzie znowu wygłasza swoje „kazania" do ludności. Władzom policyjnym michałowskim Michałek oświadczył, że jest w Warszawie, w „seminarjum duchownem", od władz którego otrzymał „zwolnienie na święta", tudzież że po Nowym Roku wraca bezzwłocznie do stolicy. Wobec powyższego oświadczenia Michałka policja dała mu spokój i pozostawiła chłopaka na wolności.

Powrót relikwij do Polski. Ks. prymas Hlond podczas swego pobytu w Rzymie uzyskał przyznanie katedrze gnieźnieńskiej ważnej relikwji św. Wojciecha, która od 1006 roku była przechowywana w kościele św. Bartłomieja na wyspie Tyberyjskiej w Rzymie. Cesarz niemiecki Otton III w r. 1000 zabrał z Gniezna ramię św. Wojciecha i złożył je w kościele, wybudowanym przez siebie na wspomnianej wyspie ku czci tego męczennika. W ciągu wieków, przy przebudowie kościoła, zmieniono jego tytuł, dedykując go św. Bartłomiejowi. Relikwja atoli pozostała nietknięta w ołtarzu, poświęconym św. Wojciechowi. Dopiero w ubiegłym stuleciu przyznano znaczniejsze szczątki tej relikwji biskupom polskim i węgierskim. Pozostałą część zabrał obecnie ks. kardynał Hlond z dokumentami do kraju i zwrócił ją archikatedrze gnieźnieńskiej, skąd ją przed 928 laty wywieziono.

Żebrak bogaczem. Nad ranem na jednej z ulic Paryża policja znalazła zemdlonego żebraka - włóczęgę. Widok jego budził litość i odrazę. Brudne łachmany, które oddawno zatraciły podobieństwo do jakiejkolwiek części gerderoby, okrywały ciało nędzarza. Niebawem okazało się, że człowiek ten miał 52 lata i od dwóch dni nic nie brał do ust. Włóczęgę odprowadzono do urzędu policyjnego. Trudno opisać zdumienie funkcjonarjuszy paryskiej policji, kiedy zauważyli, że żebrak ten miał w swych łachmanach nadzwyczaj dużo ukrytych i dobrze wypchanych kieszeni. Powierzchowna rewizja dała wyniki wprost sensacyjne. Stwierdzono, że „nędzarz" jest formalnie oblepiony banknotami i złotemi monetami. Z łachów jego wyjęto ni mniej, ni więcej tylko 50.000 franków w banknotach i przeszło 2 tysiące franków w złocie! Żebrak zaklinał się, że było to wszystko, co posiadał. W pół godziny potem wyśledzono go jednak, jak w celi liczył paczkę dziesięciofrankowych banknotów. Wobec tego komisarz policji kazał go powtórnie sprowadzić do urzędu i zrewidować. Żebraka rozebrano zupełnie i łachmany jego przeszukano skrupulatnie. Wyniki były fenomenalne. W koszuli znaleziono banknoty 10 i 20 frankowe w ogólnej sumie 2.000 franków, a w kapeluszu 1.000 franków. Wówczas rozkazano mu zdjąć buty i wnet ustalono, że w obcasach i podeszwach było ukrytych około 1.000 franków w złotych monetach. Na natarczywe pytania, skąd „nędzarz" może posiadać przy sobie tak wielki skarb, oświadczył on, że pieniądze te zebrał w ciągu 30 lat, żebrząc na ulicach Paryża.

Klub prababek. Śród mnóstwa klubów, które posiadają swą siedzibę w Londynie, najbardziej niezwykłym jest bezwątpienia klub prababek. W statucie tej organizacji na naczelnem miejscu widnieje zasadniczy przepis, który rozstrzyga o kwalifikacji na członkinie. Musi nią być niewiasta leciwa, licząca najmniej 65 wiosen oraz mogąca pochwalić się pewną liczbą wnucząt. Brak któregokolwiek z tych warunków dyskwalifikuje w zupełności amatorkę uczestniczenia w dostojnem gronie. Obecnie w klubie prababek praca wre z powodu nastałej obecnie pory zimowej. Prababcie uczą się między innemi śpiewu kolend, któremi popisują się wędrując po podwórzach i domach zabawy.

Tortury w raju bolszewickim. Gazety codzienne podają opis sposobu „badania" pewnego Polaka, któremu udało się uciec z drogi na Sybir i szczęśliwie przedostać się do Polski. Przy pierwszej próbie ucieczki z „raju" bolszewickiego został on schwytany na granicy i odstawiony do G. P. U. w Szepetówce. Ponieważ jest Polakiem, został posądzony o szpiegostwo. Agent G. P. U., żyd, Dedynko, zbił niechcącego się przyznać do winy do nieprzytomności, poczem dnia następnego odtransportowano go do Berdyczowa. Tu nastąpiła nowa serja tortur i bicia. Ledwie trzymającego się na nogach nieszczęśnika odwieziono do głównego urzędu G. P.U. w Olewsku. Tu wziął się do niego słynący z krwiożerczości i braku wszelkich uczuć ludzkich agent - kat, Kuźnic. Najpierw poddał on więźnia biciu i torturom, co trwało przez 5 dni. Następnie wyprowadził go nocą na dziedziniec, w towarzystwie jeszcze jednego agenta, do którego odezwał się: „Nie chce się przyznać, pal mu w łeb" i kazał więźniowi iść parę kroków naprzód, zapowiadając, że natychmiast się przyzna, albo zostanie rozstrzelany. Gdy ten odparł, że się nie przyzna, gdyż nie popełnił zarzuconego mu czynu i mężnie ruszył naprzód, strzelono za nim z rewolweru trzy razy, jak się okazało, tylko na postrach. Po takiej „próbie" nieszczęśliwy człowiek osiwiał i wpadł w ciężką chorobę nerwową. Mimo to skazany został na kilkuletnie więzienie. Człowiek ten opowiadał również o torturach innych więźniów.



Oto pewnego Rosjanina, posądzonego o propagandę antybolszewicką przykuto łańcuchem na dziedzińcu więziennem i tak pozostawiono na mrozie przez szereg dni i nocy. Stosowanie tortur w tym raju bolszewickim kwitnie jak w Chinach. Propaganda antyreligijna wzmaga się też niesłychanie.

Wiekowy portret. Słynny rosyjski podróżnik, Kozłow przedsiębrał kilkakrotnie podróż po Mongolji. Odkrył on martwe miasto Chara Choto i wiele, dotychczas zupełnie nieznanych zabytków starej mongolskiej kultury, jak również niezwykle interesujące zbiory z dziedziny flory i fauny. Pomiędzy wieloma skarbami, które przywiózł do domu, znajdował się dziwny portret. Był to kawałek haftowanego materjału, przedstawiający jakiegoś nieznanego rycerza. Niezmiernie ciekawym jest fakt, że zarówno w rysach twarzy rycerza, jak w doborze kolorów znać silny wpływ sztuki helleńskiej. Musiał więc zachodzić bezpośredni lub pośredni związek pomiędzy starożytnymi Grekami a Mongołami. Rzeczoznawcy rosyjscy oceniają wiek portretu na dwa tysiące lat. Sporządzono dwie kopje, z których jedna została posłana jakiemuś angielskiemu rzeczoznawcy do oceny, druga zaś do Francji.

Straszna noc. Pod maleńką stacyjką austrjacką, Leopoldenhof rozegrała się niedawno wstrząsająca scena. Była późna noc. Nad rozdzielczą tablicą, regulującą ruch dziesiątków pociągów, mijających tę stacyjkę, stał pochylony Hesner, zwrotniczy, od 30 lat pełniący tę niezmiernie odpowiedzialną pracę, która stanowiła o życiu setek podróżnych w mknących pociągach. Nagle rozległo się głośne pukanie do drzwi, do których od przeszło lat całych o tak późnej porze nikt nie kołatał. Hesner odbiegł na chwilę od tablicy — otworzył drzwi i ujrzał przed sobą zupełnie gołego człowieka o błędnym wyrazie twarzy.

— Jestem naczelnikiem wszystkich stacyj kolejowych świata... kieruję ruchem pociągów na całej kuli ziemskiej.

Zwrotniczy chciał zatrzasnąć drzwi przed obłąkanym, został jednak odrzucony ze straszną siłą. „Furjat" stał już nad tablicą i gołą, włochatą ręką zamierzał przesuwać lewary zwrotnic, powodując straszliwe katastrofy. Walka z siłaczem-warjatem byłaby bezcelową. Hesner w szufladzie ma stary zardzewiały rewolwer. Przykłada go z tyłu do głowy warjata... Strzela. Hesner zdążył na nowo ustawić zwrotnicę. Katastrofa zażegnana... Na podłodze rzęzi umierający szaleniec. Hesnar „przepuszcza" parę pociagów... Nikt die domyśla się nawet, jak straszny epilog rozegrał się w tym samotnym domu o błyszczących oknach, za któremi stoi pochylony w pracy stary zwrotniczy. Wreszcie Hesner znajduje parę chwil wolnych, telefonując do naczelnika stacji, wkrótce przybywa policja i lekarz. Umierający odzyskuje na chwilkę przytomność.

— Wyliczyłem, że... jeżeli nie nastawi się zwrotnicy pociągu na Paulinstadt, dziś o 2 giej w nocy wszystkie pociągi świata wykołeją się... ludzkość będzie uratowana... zrobi się luźniej na świecie...

Doraźne śledztwo wyjaśniło, iż zabity zbiegł z domu obłąkanych. Hesner, stary zwrotniczy, stanął przed sądem, który go uniewinnił. Jednak starzec był tak wstrząśnięty dramatem tej nocy tragicznej, że musiał porzucić swą pracę „w domku o płonących oknach". Podróżni, którzy tej nocy mijali stacyjkę Leopoldhof i domek ze zwrotnicami, nie wiedząc, jak straszliwe grozi im niebezpieczeństwo, zorganizowali zbieranie składek dla Hesnera Po uniewinniającym wyroku wręczono Hesnerowi pokaźną sumę pieniędzy, która mu zabezpieczy spokojny żywot po pracowitem życiu i tak dramatycznej jednej nocy.

Napad „klubu złodziejskiego" na stolarzy. W ubiegłym tygodniu doszło w okolicach dworca śląskiego w Berlinie do niebywałej bijatyki między związkiem stolarzy, odbywającym walne zgromadzenie w jednej z restauracyj, położonej w okolicy dworca, a członkami mocno podejrzanego klubu „zawsze wierni", rekrutującymi się z pomiędzy szumowin i kół złodziejskich z okolicy dworca. W związku z pewnemi zatargami pomiędzy temi związkami, które zdarzyły się przed dwoma tygodniami, klub złodziejski ubrany w smokingi i cylindry wtargnął do restauracji, gdzie odbywało się walne zgromadzenie związku stolarzy i wszczął zaciętą bójkę, która przeniosła się następnie na ulicę. Przez dwie godziny toczyła się zacięta walka na ulicy i w restauracji przy pomocy kufli od piwa i rewolwerów. W wyniku bójki została 1 osoba zabita i 5 ciężko rannych oraz kilkanaście poturbowanych. Policja dopiero po otrzymaniu większych posiłków zdołała zlikwidować tę prawdziwą wojnę pomiędzy organizacją złodziejską a związkiem stolarzy.

Miłość wśród zwierząt. W zoologicznym ogrodzie w Allpura, w Indjach Brytyjskich, przed dwoma laty w sąsiedztwie najbliższem pary „królewskich" lwów postawiono klatkę z przepięknym okazem bengalskiego tygrysa. Zrazu tygrys nie zwracał najmniejszej uwagi na piękną sąsiadkę. Po pewnym czasie tygrys zaczął się jednak układać obok krat sąsiedniej klatki a lwica poczęła mu okazywać pewne względy. Doszło do tego, że tygrys przez kraty wyciągał swe łapy do lwiej klatki, a małżonka „króla pustyni" oblizywała je czule, przeciągając się i łasząc. Rozkwitał niezwykły romans, któremu z ogromnem zaciekawieniem przyglądał się dyrektor ogrodu i służba. Ale pewnego dnia w sercu lwa zrodziła się zazdrość, począł odpędzać „żonę" z ulubionego miejsca, ryczał wściekle i wogóle „robił scenę" po swojemu oczywiście. Przed dziesięcioma dniami grzywiasty małżonek rzucił się na swą „platonicznie" niewierną połowicę i pogryzł ją bardzo dotkliwie. Mimo najtroskliwszej opieki lekarskiej, ofiara brutalności zazdrosnego męża, żyć przestała. Śmierć lwicy podziałała na rywali piorunująco. Tygrys rzucał się w klatce, jakgdyby chcąc pomścić śmierć swej czułej przyjaciółki, lew miotał się i napełniał cały ogród przeraźliwym rykiem. Po trzech dniach lew i tygrys przestali przyjmować pożywienie. Jak donoszą gazety angielskie, obraz rozpaczy zwierząt był tak przejmujący i wymowny, że klatkę oblegały tysiące niedyskresnych ludzi. Po paru dniach lew i tygrys z wyczerpania i nagłego upadku sił żyć przestali. Tragedja zwierząt bywa niekiedy wymowniejszą od dramatów ludzkich.

Okręt w lodach. W cieśninie Beringa, między Azją a Ameryką, w okolicach podbiegunowych, rybacki statek angielski zauważył, że na olbrzymiej krze lodowej, miotanej przez fale, znajduje się opustoszały, zniszczony okręt, z połamanemi masztami, okryty lodem.



Kapitan statku angielskiego spuścił łodzie na wodę i z wielkiemi ostrożnościami kazał wylądować na lodowcu, aby zbadać co to za szczątki i czy przypadkiem nie znajduje się tam ktoś, potrzebujący ratunku? Przekonano się, że są to resztki okrętu, na którym przed kilkudziesięciu laty odbywała się wyprawa podbiegunowa kapitana Klura. Okręt dostał się wtedy pomiędzy lody, które ścisnęły go tak silnie, że komendant wyprawy musiał go opuścić i z całą załogą saniami po lodach dążyć do lądu stałego. Porzucony okręt zamarzł i pływał z krą przez długie lata. Marynarze podziwiają mocną budowę tego statku, który wytrzymał tak długo.

Prosimy o niezwlekanie z odnowieniem prenumeraty na rok bieżący, ale corychlej ją nadesłać.

RZECZY CIEKAWE.

Najmniej zbadana wyspa.

Najmniej zbadaną wyspą jest bezwątpienia Sumatra, pomimo, iż sąsiaduje z Jawą, gęściej zaludnioną niźli kraje środkowo-europejskie. Jeszcze przy brzegach Sumatry zjawiają się okręty, w małych miasteczkach portowych wyrastają faktorje, pośredniczące w wymianie między tubylcami, a kompanjami światowego handlu, we wnętrzu jednak prawie nie postała noga Europejczyka. Wiele złożyło się na to przyczyn, przeważnie natury politycznej, które sprawiają, że biali rzadko tylko osiedlają się na Sumatrze. Gdyby szli ławą, dziewicze lasy, dzicy ludożercy i plaga tygrysów znikłyby pod ciosami techniki spółczesnej. Natomiast pojedynczy podróżnik tylko z wielkim trudem i życie stawiając na kartę, może próbować wniknąć w tajemnicze głębie podzwrotnikowych lasów, zalegających góry w centrum wyspy.

Wielu podróżników życiem przypłaciło już swoją śmiałość, nieliczni którzy wrócili, opowiadają cuda o stadach słoni, zasadzkach tygrysów i o najciekawszem stworzeniu na Sumatrze — o orangutanach. Małpy te bodaj nie wiele różnią się od tubylców, zamieszkują zaś jeno najniedostępniejsze wnętrza puszczy, gdzie chronią się zarówno przed białym, jak i czarnym prześladowcą.

Ta sielanka jednak, zapewne nieco w barwach egzotycznych, na którą składają się: ludożercy, orangutany, dzikie słonie, tygrysy i jadowite węże, zezłościła w końcu flegmatycznych synów Albionu. — Wielka ekspedycja angielska, złożona z kilkudziesięciu białych i kilkuset kolorowych konwojentów, zaopatrzona w auta o trakcji podobnej, jak przy czołgach, ma w najbliższym czasie zgwałcić dziewiczość niezbadanej wyspy. Dla takiej gromady ludzi, zasadzki dzikich oraz tygrysów nie stanowią przeszkody.

Wiele wabików nęci eksploatatorów do wnętrza Sumatry. Głównemi są: cenne kruszce i orangutany. Tubylcy bowiem na swoje nieszczęście przynieśli do faktoryj kawałki pięknych rud i złoto. — Skarby te muszą tam widocznie zalegać na wierzchu, w głębi zaś być może, kryją się najrozmaitsze jeszcze zasoby i in. spodziewane złoża nafty. Orangutany zaś budzą ciekawość zoologów, lekarzy, a nawet psychologów, którzy badania nad rozwojem umysłowości zwierząt podejmują dziś coraz częściej, jako podstawę do studjów nad t. zw. instynktem. Otóż orangutany są małpami bardzo drogiemi ze względu na trudność złapania żywcem. Przypuszczalnie wyprawa angielska przywiezie kilkanaście sztuk tych »władców Sumatry«.

Historja powitania.

W początkach cywilizacji, gdy ta dała już ludziom własny dach nad głową, ludzie należący do jednej rodziny lub plemienia, nie witali się przy spotkaniu. Początek powitaniu dawało wszędzie dopiero zjawienie się gościa, to jest należącego do innej rodziny lub plemienia.

W cywilizacji aryjskiej trzy są główne postacie i zarazem stopnie powitania: ukłon, zdejmowanie nakrycia głowy i podanie ręki.

Ukłon, dokonywany przez pochylenie postaci, jest jakby symbolicznem dobrowolnem poniżeniem się wobec witanego. Zdejmowanie kapelusza tę symbolikę jakby uzupełnia. Podawanie ręki ma podwójne znaczenie: najpierw przybysz wyciąga rękę, aby pokazać, że nie ma w niej żadnej ukrytej broni.

Inaczej witają się ludy niecywilizowane. Tam ceremonja powitania jest często dość długa nawet, a dla Europejczyka nawet mocno krępująca.

Indjanin robi z wielkiego i wskazującego palca jakby obrączkę i zakłada ją w podobnie złożoną figurę ręki tego, z kim się wita. Znaną też jest w Ameryce forma powitania, polegająca na załamywaniu stawów palców tak silnie, żeby aż trzeszczały. Podobne powitanie spotykano u ludów afrykańskich.

Polinezyjczyk objawia uciechę z gościa, nacierając mu dłonią dołek pod piersiami. Żona wita tam męża nacieraniem ręką twarzy i bark, tak jak to u nas czynią stare babcie z wnuczętami z tą różnicą, że głaszczą swych ulubieńców po twarzy.

Na Nowych Hebrydach i na Nowej Gwinei zlewają witanemu przyjacielowi głowę wodą. Eskimos pociera sobie ręką piersi, głaszcze brodę i nos — na znak radości z gościa. To samo czyni Ainos z wysp Kurylskich. Chińczyk składa ręce w powietrzu i przybliża je do piersi, to znów oddala od nich, wykonywując ruchy te rytmicznie i z wielką zręcznością, a gdy chce być już bardzo uprzejmym, po ukończeniu, kładzie jeszcze prawą rękę na dołku. Mieszkańcy wysp w cieśninie Torres pociągają delikatnie paznokciami jednej ręki po dłoni drugiej.

Romantyczny zwyczaj całowania skraju szaty osoby ukochanej przyszedł do nas z Turcji, gdzie ten rodzaj powitania jest jeszcze w użyciu, pomimo reformatorskiej pracy Kemala Paszy.

Najwyższym objawem miłości, przyjaźni i radości z zobaczenia osoby miłej jest pocałunek. Znają go prawie wszystkie ludy.

Całowanie rzeczy świętych ma za źródło nie czułość, ale cześć i korną uległość. Łacińskie „adorare“ pierwiastkowo znaczyło „dotykać ustami, nieść do ust (ad ora). W pocałunku pierwotnych chrześcijan przebija się i braterstwo. Całowały się siostry między sobą, całowali i bracia. Na schyłku wieków średnich więcej się całowano, niż obecnie. — W Anglji w ówczesnych latach człowiek prawdziwie grzeczny, przybywszy w odwiedziny, miał obowiązek całować z kopyta wszystkie damy, jakie zastał, a potem dopiero był im przedstawiany.

Ciekawe jest powitanie u Kałmuków. Idą oni ku sobie na czworakach, a zetknąwszy się, przykładają nos do nosa.

Najoryginalniejszem jednak powitaniem jest wymierzanie sobie policzków, praktykowane w Korei.

Odpowiedzi Redakcji.

Pp.: **Edward Cygan** w J.: A kto napisał „Testament osobnika?“ A jeżeli Pan, to czy to było już gdzie drukowane, gdyż temat coś bardzo się nam przypomina. — **Józef Kowalik** w K.: Wierszyk zupełnie dobry, kiedy jednak będzie drukowany, trudno nam oznaczyć. — **Jan Szczygieł** w D.: Jako pierwszą powieść zamieszczamy utwór tłumaczony z ruskiego przez p. Juljusza Prusa. Jest to powieść kryminalna, oparta na przedwojennych stosunkach we Wschodniej Małopolsce. Druk jej zajmie zaledwie kilka numerów „Roli“. — **Karol Baran** w N.: I nas to dziwi, dlaczego rząd nie wglądnie w gospodarkę niektórych Spółek akcyjnych. Spółki te mają ze swych przedsiębiorstw kolosalne zyski, a gdy przyjdzie do rozdziału tych zysków, to lwią część z nich przeznaczają na najrozmaitsze cele, a przeważnie jako honorarja dla dyrekcji i urzędników danej Spółki, a akcjonarjusze nie dostają nic, albo prawie nic. To jedno! A po drugie, cóż się stało, jeżeli akcja przed wojną wartała 200 koron, to za tę samą akcję płacą 1 lub 2 złote, a czasem zaledwie kilka lub kilkanaście groszy, chociaż majątek Spółki się nie zmniejszył, ale nawet wzrósł. — **Jan Żaba** w T.: Wiadoma książka już przed wojną została wyczerpana. — **Franciszek Raszyk** w Ł. n. O.: Zamówione książki wysłaliśmy i załączyliśmy

czek czeski. Może szczęście Panu posłuży i padnie los, to znów inną książkę poślemy. Cześć! — **Jan Dąbrowski** w Z.: Jeżeli posłaniec gminny idzie po pocztę w piątek, a w piątek upomniany „Roli" Panu nie wyda, to niech Pan się zapyta urzędu pocztowego w Okulicach, czy „Rolę" do gminy wydal. Być może, że w gminie chwyciwszy „Rolę" przetrzymują, a Panu każą za swoje pieniądze czekać. Niech Pan o swoje energicznie się upomina, a gdy nie pomoże, poprosimy o interwencję starostwo albo Dyrekcję Poczt. — **Władysław Rusek** w K.: Numera z czekami posłaliśmy — dziękujemy serdecznie jak również i za życzenia. — **Karol Lewicki** w St.: Jest to Kamionka. I nas cieszą te pochwały dla naszej współpracowniczki. Numera brakujące przesłaliśmy, chociaż Nr. 1 mamy tylko w rocznikach. Również i kalendarz pod wskazanym adresem wysłany. Cześć! — **A. Stelmachówna** w B. W.: Miłej Przyjaciółce serdeczne dzięki za przysługę. Numer z czekiem wysłaliśmy. Prosimy nadal o pamięć i pozdrawiamy. — **Jan Czader** w St. W.: Żądane czeki posłaliśmy i prosimy o pamięć. — **Jan Łopata** w R.: Numera okazowe z czekami wszystkim posłaliśmy, a prosimy nadal o pamięć. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Br. J. Wilk** w D.: Klisze drukarskie, tej wielkości co załączony wzór będą kosztowały po 13 zł. Owszem w „Roli" zamieścimy, poprosimy jednak o historję do tegoż. Zdjęcia są ładne i wyraźne. Wzajemnie pozdrawiamy. — **Jan Omyła** w K.: Truciznę na szczury można kupić w aptece, jednak na receptę lub zezwoleniem na sprzedaż tejże starostwa. O kupno walcy nutowych niech się Pan zwróci do p. Nikla, Kraków, Szewska 2 (Sklep instrumentów). — **Katarzyna Groń** w S.: Rocznik z r. 1927 są to pojedyncze numery w ilości 52 egzemplarzy i może sobie Pani dać oprawić w księgę. — **Jan Krzysztoń** w B. N.: Pod wskazanymi adresami numera z czekami wysłaliśmy. Dziękujemy i polecamy się nadal. — **Józef Żmuda** w O.: Zjednanym Nr. 1 posłaliśmy i prosimy nadal o pamięć, a numera z czekami natychmiast poślemy. — **Józef Pachołek** w Ch. W.: Czeki wysłaliśmy. Wierszyk pierwszy zupełnie dobry, drugi słabszy. — **Szczepan Orzech** w K.: Za życzliwe słowa serdecznie dziękujemy. Równocześnie z listem Pańskim przyszedł list od brata Franciszka. Tak Józefowi jak i Franciszkowi posłaliśmy już do Francji Nr. 1 „Roli". Dzięki. — **Józef Sołtys** w M.: Owszem zamieścimy, ale musimy najpierw drukować te, które dawniej nadeszły. — **L. Świder** w K.: List Pański daliśmy autorowi artykułu, spodziewamy się, że on rzecz wyjaśni. — **Bazyli Haponiuk** w D.: Abyśmy mogli ocenić wartość artykułu, musimy go cały posiadać, gdyż często początek może być b. dobry, a koniec słaby i odwrotnie. — **Leon Mulicki** w J.: Dobre artykuły chętniebyśmy drukowali, ale honorarjum płacić nie możemy, gdyż nas na to nie stać. „Rola" utrzymuje się tylko z prenumeraty, a więc musimy gospodarzyć bardzo oszczędnie, aby koniec z końcem związać. — **Bronisław Rasienda** w Śl.: Prosimy przesłać tylko 6 zł. 60 gr., a wyślemy Panu. To już z przesyłką pocztową. To rzeczy niesłychane, aby wójt za doręczenie brał blisko tyle, ile ona kosztuje. Dobrego wójta ma gmina Śledziejowice. To też tam nikt „Roli" nie prenumeruje, bo przy takich opłatach panu wójtowi za doręczanie to tak gazeta jak książka ma drogę zamkniętą. Szkoły może niema, ale zato ze trzy karczmy. Cześć!

Na fundusz wydawnictwa nadesłali PP.:

Antoni Kohut z Istebnej 2 zł. dla Maćka, Fr. Masłowski z Korościatyna 60 gr. dla Maćka na bukiet, Adolf Siwek z Karwiny na kolędę dla Maćka 2 zł.

Unieważniam zgubioną książeczkę wojskową na nazwisko kapr. Jan Broniowski z Uhnowa. Rocznik 1902. Wydana przez P. K. U. Rawa-Ruska.



Zagadki do nagrody.

1. Logogryf.

(Ułożył Piotr Wenc z Ś.).

■ ☆ ☆ ☆ ■ Godła.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Kozy wstecz.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Część twarzy.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Pokaleczeni.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Uprzykrzony (wstecz).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Pasza (wstecz).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Nawóz sztuczny (wstecz).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Tylni (wstecz).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Imię żeńskie.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Przyrząd do rozbijania murów.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Zastaw.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Kraj w Azji (2 p. l. p.).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Scena.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Rzeka.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Dumni (wstecz).
■ ☆ ☆ ☆ ■ Cesarz rzymski.
■ ☆ ☆ ☆ ■ Metal szlachetny.

W miejsce kwadracików i gwiazdek wstawić odpowiednie litery, które dadzą szukane wyrazy. Początkowe zaś ich litery czytane z góry na dół i końcowe z dołu do góry dadzą imię i nazwisko pisarza polskiego i jego utwór.

2. Szarady.

(Ułożył Franciszek Pukas z S.).

I.

Gdy pierwsza czwarta wydała panicza
On się zalecał, hulał, trzaskał z bicza.
I tak przetrwonił całą ojcowiznę,
Kieszeń miał pustą, na głowie siwiznę.
Ojciec nad tem biadał, w pracy się troił,
Aż wreszcie synowi pierwsze drugie skroił.
Syn się ukorzył — pierwsza sygnał dała,
Całość pieniądz zabrawszy, w duchu się śmiała.

II.

Pierwsze czwarte masz w potrawie
Trzecie drugie kwiaty nuży,
Drugie trzecie znajdziesz w trawie,
Całość ludziom mile służy.

III.

Pierwsze drugie sen tłumaczy,
Drugie pierwsze obraz zdobi,
Pierwsze trzecie nic nie znaczy,
Całość nazwę miasta robi.

IV.

(Ułożył Franciszek Macioł z S. B.).

Pierwsza druga jest sukmana
Maćka Bzdury, i wydarta,
Druga trzecia dobrze dana
Nieraz bardzo dużo warta,
Wstecz zaś druga, miara znana.
Całość bywa drukowana,
Nieraz trudna i uparta.

V.

Sami przyznacie, łatwa to szarada,
Drugie pół trzecie, trudu Wam nie zada,
A gdy ją dobrze i prędko zgadniecie,
Trzecie i trzecie z drugiem mi będziecie.
Miałem nie mówić co to całość będzie,
Bo to rzecz znana, wiem napewno, wszędzie,
Pierwsze Wam powiem: Całość chorym służy,
Kończę szaradę, niech się wiersz nie dłuży.

3. Układanki.

(Ułożył Wł. Szwabowicz z K.).

Poeta polski + dwie litery + imię męskie + spółgłoska = zawód.

Spółgłoska + zwierzę rzeczne + zaimek wskazujący = miasto.

Miecz + imię męskie = dzieło.

Spółgłoska + lekarstwo + samogłoska = napój.

Rzeka w Europie + liczebnik = ozdoba mieszkania.

Część drzewa + służy do jazdy = nazwisko.

Za rozwiązanie wszystkich powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki do rozlosowania.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 20 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 53 „Roli": 1. Logogryf: Romuald Traugutt. 2. Szarady: Pastorałki. Przygody. Kochanie. Złoczów. Listonosz. 3. Układanki: Adam. Kawa. Beka. Majka. Wujanka. Kawka.

Dobre rozwiązania w oznaczonym czasie nadesłali pp.: Jan Szczygieł z D., Jan Gara z W., Kazimierz Dec z T., Piotr Wenc z S., Władysław Sowiźrał z J., Ignacy Mróz z N., Karol Mac z G., Józef Saj z U., Karol Chałat z R. i Piotr Leśniak z M.

Nagrody wylosowali pp.: Kazimierz Dec z T. i Jan Szczygieł z D.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny Redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu" w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

Wielki Ilustrowany Kalendarz Powszechny

jest już do nabycia w Administracji „Roli“. Cena z przesyłką pocztową **2 zł. 95 gr.**

Logika.

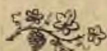
— Jeśli nie wierzysz w gwiazdora, to ci też nic nie przyniesie na gwiazdkę.

— A ja nie wierzę w bociana, a jednak co roku przynosi mu braciszka.



— Pan się pomylił, panie stołowy, mój rachunek wynosi tylko 13 złotych a nie 14!

— Wiem, proszę pana, ale myślałem, że pan jest przesądny...



Nasze dzieci.

— Gdy będę wielki, zarobię pieniądze, tak właśnie, jak tata!

— Tak — a ja będę je wydawała, tak właśnie jak mama.

Po ślubie!

Żona: Kochany! Przed małżeństwem przynosiłeś mi codziennie podarki, a teraz mię zaniedbujesz.

Mąż: Czy widziałaś, by rybak karmił rybę, którą już schwytał?



Alibi.

Żona. Dlaczego ty wychodzisz na balkon, kiedy ja śpiewam?

Mąż. Ażeby ludzie nie pomyśleli, że ja ciebie biję.



Co ma na obronę?

Sędzia: Cóż oskarżony ma na swoją obronę?

— Wielmożny sądzie! jak w karczmie, to mam pięść, — a w sądzie to tylko adwokata.

Rocznik „Roli“ z roku 1927 zawierający 19 powieści: **„Tajemnica na dworze królewskim“, „Podróż naokoło świata, „Dziwy w świecie“, „Przygody Filipa“, „W szpitalnej celi“, „Dziwne sny“, „Zwiastunka śmierci“, „Wśród puszcz i stepów“, „Matka królów“, „Wawrzek Dybczak“, „Walkowa dola“, „Zemsta Judyty“, „Ucieczka Archanioła“, „Pomszczona zbrodnia“, „Staw św. Małgorzaty“, „Było to pod Jeną...“, „Abraham Pinkt i Mateusz Sikora“, „Baśń o Sobotniej Górze“, „Wskrzeszenie Łazarza“.**

Wiele z powyższych powieści jest ozdobionych pięknemi ilustracjami.

W każdym numerze opowiadanie Maćka Bzdury, nadto wiele powiastek, gawęd, legend humoresek. Prócz tego kronika krajowa i zagraniczna ilustrowana. Na okładkach humor

Całość rocznika obejmuje 1.040 stron a kosztuje wraz z przesyłką pocztową tylko 9 zł. 50 gr.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 4 stycznia b. r.

Pszenica .	45·50—46·50	Słoma długa	11·00—13·00
Żyto	35·50—35·75	Ziemniaki stoł.	7·50— 8·00
Owies . .	35·00—36·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	31·00—32·00		
Fasola biała	00·00—00·00	Mąka żytnia	50·00—51·00
Groch zwyk.	58·00—62·00	Mąka pszen.	73·00—74·00
Siano słodk.	26·00—28·00	Otręby pszen.	26·50—27·00
Łubin żóły	29·50—30·50	Otręby żytnie	26·50—27·00
Koniczpastew.	00·00—00·00	Mąka czerw.	31·00—32·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg.

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy:

w dniu 4 stycznia b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi:

Buhaje .	od 1·00 do 1·62 zł.	Jałownik	od 1·11 do 1·55 zł.
Woły . .	od 1·10 do 1·68 zł.	Cielęta .	od 1·20 do 2·25 zł.
Krowy .	od 0·70 do 1·44 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·95 do 2·38 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 2·60 do 3.00

Nie marnować owocu!

Wspaniałe

Wina domowe

sporządzamy z każdego owocu i jagody (nawet zboża), n.p. **Tokaj, Malagę, reńskie stołowe i t. p.**

Dokładny podręcznik przesyłam za 80 gr. w znaczkach pocztowych.

Cenniczek i krótki opis wyrobu win zadarmo

M. Pradel, Kraków, Grodzka L. 2

(tamże rurki ferm., prasy, gąsiory i t. d.).

Okładki na „Rolę“ na r. 1928 są gotowe po nadesłaniu 2 zł. 20 gr. wysyłamy.

Żywoty Świętych Pańskich

na wszystkie dni w roku, dzieło ozdobione 366 ilustracjami i kolorowymi obrazami, 740 stron, w ozdobnej oprawie, najnowsze poprawione wydanie, **cena zł. 12.**

Quo Vadis Sienkiewicza

ilustrowane w oprawie około 300 str., **cena 4 zł.**
Wysyła: **Ekspedycja JANA MACKOWA, Rożniatów, Małopolska.**

Instrumenta MUZYCZNE

dęte i smyczkowe oraz części zapasowe do tychże. — Stare instrumenta naprawia, zestraja lub wymienia na nowe

J. A. NIKIEL
Kraków, Szewska 2.

Wszelkiej porady przy zakładanin i kompletowaniu zespołów orkiestralnych udziela bezpłatnie, za nadesłaniem znaczka pocztowego.

Przyjmę chłopca do terminu.

Kupujcie wprost u wytwórcy!

Powroźnicze

wyroby pierwszorzędnego wykonania jak:

Liny konopne transmisyjne dla fabryk i kopalń, budowlane, do żeglugi i rolnictwa, wyroby do rybołóstwa, linki strażackie, turystyczne, drabiny linowe, sznury białe i szare, postronki na uprząż, lejce, uździenice, pasy, taśmy, szpagaty, hamaki, huśtawki, siatki, konopie czesane pakuły do uszczelnień i t. p. dostarcza:

Fabryka Powroźnicza
Stanisława Wałkowińskiego
w Krakowie-Zwierzyniec ul. Lelewela 11.

Wysyła monterów do lin transmisyjnych.
Sprzedaż częściowa i hurtowna.
Cenniki na żądanie.
Uwaga na dokładny adres.

Numera zaległe można nabywać w Administracji „Roli“ za nadesłaniem 30 gr. za numer. Można też nadsyłać znaczkami poczt. w liście.

Kalendarze Wojnara

na rok 1929

w cenie 3 zł. do nabycia w Administr. Roli.

Płótna lniane i pół-lniane
na wszelkie bielizny:
Chusteczki, Ręczniki, Ścierki, Chodniki, Materje. Cajgi-Struks b. silne i t. p. lepsze wyroby, poleca:

PRZEMYSŁ TKACKI J. Jórasz, Korczyna pow. Krosno

(Na próbki nadesłać 2 zł., napisać, z których tkanin próbki potrzebne. Zamawiający towary otrzyma premje w dodatku).

Aleksander Wnękowski

Introligatornia

Kraków, ul. św. Sebastjana L. 11.

oprawia książki pojedynczo i w większych nakładach, wykonuje starannie, po cenach niskich.

Najładniejsze i najciekawsze

Bajeczki i wierszyki dla dzieci

z pięknemi kolorowemi obrazkami.

1) **My się chcemy bawić!** wierszyki i powiastki dla grzecznych dzieci.
2) **Historyjki o Kizi mizi** i innych ulubionych zwierzątkach.
3) **Świat Lalek** najpiękniejszy upominek dla grzecznych chłopczyków i dobrych dziewczątek.
4) **Jak tu wesoło** skarb powiastek i bajeczek dla najgrzeczniejszych dziateczek.
5) **Mali majstrowie** skarb wierszyków i bajeczek.
6) **Ostrożnie!... Bo strzelam!...** najpiękniejsze bajeczki i wierszyki dla dobrych dzieci.

Cena każdej książeczki wykonanej w kolorach na dobrym grubym papierze wysyła za nadesłaniem Zł. 1.20, wszystkie 6 książeczek razem za Zł. 6.—.
Wydawnictwo „SENSACJA“, Kraków, Zielona 7. I. p.

Książki do nabożeństwa

Zbiorek Modlitw, Książka do nabożeństwa dla czcicieli Serca P. Jezusa, stron 512, oprawne 3 łz. 70 gr.
Przyjdź Królestwo Twoje, Książeczka do nabożeństwa dla młodzieży, stron 320. Oprawne w płótno 1·80 zł.
Ołtarzyk polskiego dziecka. Wybór modlitw i pieśni dla dzieci, stron 160, oprawne . . . . 1 zł. 30 gr.
Chwalcie dziatki Pana. Książeczka do nabożeństwa dla dzieci, stron 100, oprawne w płótno 1 zł. 30 gr.
Do nabycia w Administracji „Roli“.